Numer okazowy. Lwów, — w końcu Września 1899. Serja Wydawnictwa trzecia. Rok XXIII.

Numer pojedyńczy 20 ct. z dodatkami.

Tygodnik Narodowy

wychodzi w każdą niedzielę.

Ogłoszenia po 8 ct. od wiersza petitowego. Reklamy po 20 ct. 30 ct. i 50 ct. od wiersza.

Prenumerata w Galicji i w Austro-Węgrzech wynosi z przesełką pocztową: rocznie *8 zł.*, półrocznie *4 zł.*, kwartalnie *2 zł.*, miesięcznie *70 ct.* W Poznańskiem i Niemczech: rocznie *10 marek* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Królestwie Polskiem i Rosji: rocznie *8 rubli* — stosownie na pół roku i na kwartał. We Francji i w innych krajach europejskich: rocznie *20 franków* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Ameryce Stanów Zjednoczonych rocznie: *4 dollary* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Brazylji i w innych krajach zaoceanowych: rocznie *25 franków* — stosownie na półroku. Prenumeratę pod adresem Administracji *Tygodnika Narodowego* najdogodniej przesełać przekazami pocztowymi, lub w listach pieniężnych. Z Ameryki i z Brazylji można przesełać prenumeratę dollarami papierowymi, lub milrejsami w listach rekomendowanych (registré), albo przekazami pocztowymi. Prenumerować można w każdym czasie, b[illegible] względu na zaczęty kwartał, lub miesiąc. Numera zaległe z początkiem powieści, lub większych utworów przesełają się natychmiast *bezpłatnie*. Ogłoszenia przyjmuje Administracja, oraz wszelkie biura ogłoszeń miejscowe i zagraniezne. — Prenumeratorowie *roczni* otrzymują *co rok bezpłatnie*, jako *premium* nowy *Kalendarz illustrowany* wszechstronnie informujący, obszerny i obfity w treść interesującą.

*Redakcja i Administracja **Tygodnika Narodowego** we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.*

Tygodnik Narodowy znajduje się pod kierunkiem Komitetu wydawniczego i redakcyjnego.

Słówko wstępne od Redakcji.

Rozpoczynamy nową serję wydawnictwa. Z wyjątkiem zawiadomienia czytelników o zmianie dokonanej w pismach naszych, nie podaliśmy żadnego prospektu, który zwykle zawiera szereg obietnic na przyszłość — pragnęliśmy, bowiem, przedstawieniem od razu numeru okazowego *Tygodnika Narodowego*, objaśnić dowodnie czytającą publiczność, jak pojmujemy zakres swojego działania, jakim służymy hasłom, na czem opieramy pracę naszą, działalność publicystyczną, aby z niej był pożytek rzetelny dla najszerszych kół naszego społeczeństwa, którego sprawom służyć w dobrej i złej dobie, jest najpierwszym i bezwarunkowym obowiązkiem polskiego dziennikarstwa.

I oto przychodzimy z *Tygodnikiem Narodowym* — oto kim i czem jesteśmy!.. Dodatkowych objaśnień żadnych nie potrzeba — znajdują się w numerze. Prosimy przyjrzeć mu się bliżej, przeczytać, co w nim jest, ogarnąć to wszystko ciepłem serdecznem, a odrazu zawiążą się sympatyczne węzły pomiędzy *Tygodnikiem Narodowym*, a czytelnikami. Kierunek i tendencja widnieje u nas z każdego wiersza.

Kochamy Boga, ojczyznę i wszystkich dobrych ludzi — to jest nasz narodowy sztandar!

Od Administracji.

Wydawnictwo „Tygodnika Narodowego" rozpoczyna się właściwie od kwartału, to jest od 1. października. Ponieważ jednak, numer obecny musi być wydany wcześniej, — zatem zamiast 1. października wypuszczamy go już we wrześniu. Następny więc numer wyjdzie w niedzielę 8. października, a dalej, jak zwykle.

*Aby uniknąć zwłoki w przesełaniu numerów, prosimy o wczesne nadsełanie prenumeraty przyczem nadmieniamy, co zresztą jest przy głównym tytule każdego numeru, że roczni abonenci „Tygodnika Narodowego", otrzymują, jako premium bezpłatnie, co rok: **Kalendarz illustrowany**, obszerny, wszechstronnie informacyjny i obfity w zajmującą treść.*

Adres Administracji pod którym należy przesełać prenumeratę i wszelkie należytości znajduje się powyżej, przy tytule.

Uszy do góry!...

Mówią, że świat przeżywa obecnie ciężkie czasy, a gdy naród nasz stanowi kawałek świata, więc cząstka tego ciężaru spadać musi i na nas. Nie ulega wątpliwości, że spada i nie ulega także wątpliwości, iż w skutek politycznego naszego położenia, nie stanowiąc jednolitej siły państwowej i osłabiani społecznie i ekonomicznie przez ręce wrogów naszych, przeciw temu ciężarowi znajduje się w nas mniej siły odpornej, aniżeli gdzieindziej. Jednak dzieje się to tylko pod względem ekonomicznym — w zakresie politycznonarodowym, społeczeństwo polskie okazało takie zasoby odpornej siły, że żadne w dziewiętnastym stuleciu pod tym względem, nie może się z niem porównać, a gdy inne narody w takich warunkach wegetują zaledwie, albo giną — naród nasz nie posiadając państwowego bytu, rozdzielony na trzy części i wpleciony w koła odmiennych warunków życia — nękany bezprawiami pozakręcanemi w paragrafy różnych, po prostu, rozbójniczych ustaw — mimo to wszystko, na polu literatury i sztuki, cywilizacyjnie, idzie równorzędnie z narodami o państwowym bycie, a w pewnych kierunkach przewyższa je, albo formą wypowiadania swoich ideałów duchowych, albo wewnętrzną treścią tego, co spoczywa nieśmiertelne w duszy społeczeństwa.

Co to znaczy?...

To znaczy, że jesteśmy — choć wrogowie nasi powiadają, że nas niema... To znaczy, że pierwsza gorsza wichura ekonomiczna, czy finasowa nie jest w stanie podciąć społeczeństwu nogi do tego stopnia, aby się na ziemię powaliło i o swoich siłach wstać nie mogło. To znaczy, że powinniśmy dołożyć wszystkich sił i starań, aby bogacieć, rozwijać handel i przemysł krajowy — ale pamiętać zawsze należy iż, choćbyśmy najbardziej utyli ekonomicznie, a stali się powolni do przeobrażeń w narodowym kierunku, możemy zatonąć w sadle dobrobytu nie wiedząc nawet o tem, że toniemy i jak toniemy... Praca w narodzie żyjącym, musi się odbywać we wszystkich kierunkach i ta, co daje byt materjalny, nie może, nie powinna nic takiego przedsiebrać, coby się działo kosztem, lub z uszczerbkiem duchowego narodowego kapitału. Z nędzy — mówi prawdę przysłowie, można przyjść do pieniędzy — kraj zbiedzony, wziąwszy się, jak to powiadają, w kupę, szybko dochodzi do dobrobytu — ale naród pozwalający się odzierać ze swego duchowege *ja*, poniewierający swoimi ide[illegible]łami, albo obojętniejący dla nich — [illegible] i zginąć.

W n[illegible]em społeczeństwie, co prawda, kulejemy [illegible]d względem ekonomicznym szczególniej [illegible]alicji — ale politycznie, narodowo stoimy twardo i żadna ręka napocząć nas nie może i nie napocznie nigdy.

Z powodu znanych w ostatnich czasach nadużyć finansowych, zaczęto u nas deklamować na minorową nutę i rozpaczać, że sobie wyrobiliśmy złą opinję w Europie.

Jakie to płytkie i jakie to marne!...

Miła Europa! Jak to ona oburzała się, gdy na polskiej ziemi wznoszono lasy szubienic, palono i setki tysięcy pędzono na Sybir.... A cóż teraz mówi ta Europa, na to, co robią hakatyści?...

Zabrakło wpływów ludzkościowych Francji w Europie i przekonaliśmy się — jakie są ideały prusactwa, które zdołało zarazić już część narodu niemieckiego i spodlić go.

„Polnische Wirschaft", może być biedą z własnej naszej winy, ale nasz duch narodowy, nigdy nie otulał się łachmanami, tak, jak dziś bandy pruskich knechtów kąpią się w kałużach ludzkościowego upodlenia i zdaje im się, że to są zdroje niemieckiej „kultury..."

Możemy być goli, jak święci tureccy, ale w obec etyki ludzkościowej jesteśmy czyści. Na ciało znajdzie się okrycie, pierze i sobole nawet — na spodlonego ducha niema nic — z pod złota wyłazi on na wierzch...

To, co się w ostatnich czasach u nas stało, — oczywiście, źle się stało — ale zamiast jęczyć, malancholizować, udawać coś dla czegoś i pesymizować — wziąść do roboty, do pracy w różnorakich kierunkach. Gdzie śpią — budzić, gdzie leżą — podnosić, gdzie za prędko pędzą — wstrzymywać, gdzie za wolno — popychać, gdzie próżnują, albo marnują — walić bez pardonu!

Roboty dobrej, zbożnej, pożytecznej, wszędzie w brut! Ludzie po to żyją, aby złe brali za łeb, a nie złemu dali się wziąść na głowę.

Zbiedzili nas źli ludzie — niech naprawią dobrzy — oni są od tego.

Nie jęczyć, nie mazać się, nie mędrkować — lecz niech każdy robi, co może i co powinien, bo nic się samo nie robi. Z Bogiem na ustach, z miłością dla swego narodu, — uszy do góry i jazda naprzód!...

Dola i niedola nauczycielstwa ludowego.

Kiedyśmy po wstrząśnieniach politycznych mających przyspieszyć odrodzenie, robili obrachunek, wówczas zawsze wołano chórem: oświaty nam potrzeba, oświaty nie dla uprzywilejowanych, tylko, ale ogólnej, ludowej i narodowej.

Kilkadziesiąt lat temu była oświata hasłem, marzeniem; ulubionym, umiłowanym tematem wszystkich zgromadzeń, wszystkich zebrań towarzyskich. Nie wszystkie wprawdzie sfery społeczeństwa uznawały to w głębi duszy, ale nikt nie odważył się głośno przeczyć tej potrzebie.

Złamano nakoniec uprzedzenia. Nadeszła era autonomiczna, a z nią swoboda podjęcia pracy nad oświatą w duchu narodowym. Słyszeliśmy nie mało samochwalstwa, że instytucja publicznego oświecenia w kraju wstąpi w ślady pełnej chwały »komisji edukacyjnej«. Słyszeliśmy — ale widząc zupełnie coś odmiennego, możemy tylko nadmienić: szkoda, że samochwalstwo nie stało się ciałem. Mamy wprawdzie początki pracy nad oświatą, ale jest ona tylko z tytułu języka polskiego narodową. Duch, owiewający nas ze stosów biurokratycznych rozporządzeń szkolnych i duch książek elementarnych, to przebrany w polskie szaty duch z czasów Metternicha i jego spadkobierców. Z wielu książek szkolnych wyrzucono utwory pisarzy narodowych i wstawiono na ich miejsce tłomaczenia z niemieckiego. Pomówimy o tem obszerniej w artykule specjalnym, we wstępie tym bowiem chcemy jedynie z lekka naszkicować tło, na którem rozpoczęła się wśród niezmiernie trudnych warunków praca nauczycielstwa ludowego.

Gdyby początki tej ciężkiej pracy były przypadły w chwili gorącej propagandy Towarzystwa demokratycznego na rzecz oświaty ludu, albo w chwili gorączkowego podniecenia w latach pomiędzy 1848 a 1867, inaczej, bo pogodniej przedstawiałaby się dziś dola stanu nauczycieli ludowych. Ale początki te zbiegły się niemal jednocześnie z chwilą najgorętszych starć politycznych, w chwili reakcji nie ogólno światowej, ale domowej, galicyjsko-krakowskiej. Wszakże to były frakcje, które przyjmowały oświatę ludu, jako *złe konieczne*. Jakiegoż przyjęcia i jakiej doli mogli się spodziewać nauczyciele ludowi po osobnikach tej frakcji? Rzesza wprawdzie, garnąca się w pierwszej chwili z zapałem do obowiązków, które wymagały po prostu poświęcenia, nie wiedziała o nurtujących wyżej uczuciach, ale uczuła je niebawem dotkliwie. Najwymowniejszym objawem życzliwości dla oświaty powszechnej były dotacje dla nauczycieli ludowych. Dotacje te równały się w pierwszych latach *samorządu* płacy podrzędnych stangretów u ludzi zamożnych. Nie do pozazdroszczenia też było i jest stanowisko społeczne i towarzyskie nauczyciela ludowego. Dwór nie zna go najczęściej, ksiądz toleruje, lud, przeważnie ciemny jeszcze, widzi w nim wróbla na swoją pszenicę, rada szkolna miejscowa patrzy tak samo, jak gromada, a rady szkolne okręgowe każą mu być nie tylko nauczycielem, ale i urzędnikiem. Odrabia on, bowiem wcale pokaźną pracę poruczonego zakresu działania, które powinno być czynnością gminy. Wynagrodzenia za to nie otazymuje, ale może zapłacić grzywnę, jeżeli nie spełni narzuconego mu obowiązku.

Ktoby zaś chciał wiedzieć, do czego jeszcze obowiązany jest nauczyciel ludowy i jakie środki pomocnicze dla celów oświaty wolno (!) mu *sprawić* z płacy 300 zł. rocznie — niech kiedyś zajrzy do »Planów naukowych dla szkół pospolitych ludowych i do instrukcji«. W planach tych znajduje się także bardzo ładny frazes o wpływie historji na uczucia patrjotyczne, ale z tem o kilka wierszy niżej zastrzeżeniem, że »treści ustępów historycznych nie wolno rozszerzać«.

Ktokolwiek zetknął się ze szkołą wiejską, szczególniej w Galicji wschodniej, gdzie kraj na wybudowanie szkoły niema funduszow, lud dać nie chce, a inni także nie dadzą — temu wydać się musi gorzką ironją ustęp instrukcji o ładzie, porządku i utrzymaniu czystości w szkole. Stróża szkolnego obowiązana jest opłacać rada szkolna miejscowa, ale rada ta najczęściej puszcza mimo uszu zażalenia nauczyciela. Ażeby więc w szkole było tak, jak z pewnością pragnie każdy nauczyciel, musiałby ten człowiek sam chyba pełnić obowiązki stróża i nauczyciela. Ale gdzież czas na to, jeśli taki nauczyciel samodzielny, sam jeden, miewa niekiedy przeszło sto uczniów i uczenic?

Teofil Szumski.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika niedzielna.

Jak będzie w tym kąciku. Autonomja redakcyjna i konstytucja dziennikarska. Wszystko można, »tylko«... Dlaczego uczuwam dzięczynność. Moje pseudonimy. Co można, a co nie można. Pióro i topór. Góra z górą. Zmieniło się. Po co to wszystko piszę? Pośmy się! Zakończenie.

Czterech nas staje do fejletonu *Kroniki niedzielnej*. Redakcja obdarzyła każdego z osobna i wszystkich czterech razem autonomją — to się znaczy, że pomiędzy sobą, oczywiście, będziemy się lubić, ale możemy się czubić. Każdy sobie rzepkę skrobie. Czy Redakcja nie zawiesi tej autonomicznej konstytucji i nie zacznie zastosowywać 14. paragrafu — tego przewidzieć nie można — raz dlatego, że mądrość polityczna dziś nic nie przewiduje — a powtóre, żadna redakcja nie jest Zawiszą, na żadnej polegać nie można i gusta tych szanownych pań, zmieniają się, jak damskie kapelusze.

— Kochany kolego, możesz wszystko pisać, niczem się nie krępować...

— Właśnie — przerywa rozpromieniony fejletonista.

— Tylko — mówi dalej redaktor ogarniając czarny kałamarz różowym uśmiechem — tylko ja nie wszystko mogę drukować...

Takie to są konstytucje dziennikarskie wszędzie.

Mnie się zdaje, że z naszą autonomją jest tak samo.

Wolno nam pisać wszystko, a ile tam będzie zachodzić tych »tylko«, nie jest w stanie przewidzieć żaden dziennikarz, nawet z tego naszego najmłodszego narybku, co rano jest melancholistą, w południe socjalistą, a wieczorem... spirytualistą...

Jestem ja już praktyk pod względem pisywania *kronik niedzielnych* — narzempoliłem ich w fejletonach *Dziennika Polskiego* tyle i takich, że możnaby z nich jakąś literacką równiankę ukręcić — ale, jeśli mam prawdę powiedzieć, to w naszych stosunkach dziennikarskich kręcić literackie równianki — jest coś podobnego do myszy i pudła. Fejletonista, czy tam kronikarz siedzi wciąż, jak mysz na pudle — nigdy niepewny, co »można«, a czego »nie można«... Co do mnie, zakupiłem mszę dziękczynną na intencję, żem się uwolnił od tego, »co można, a czego nie można«... I gdybyż to »nie można« z ogólnych względów, z tytułu jakiejś wyższej etyki, albo polityki — gdzietam!... »Nie można«, bo mimowoli wpleciony jesteś w stosuneczki i w siatkę kołtuńskich, albo filisterskich interesików, które muszą być twoimi, choć cię, ani ziębią, ani parzą... Krzyżyk im na pożegnanie i do miłego nie zobaczenia!... Moje pseudonimy, co tam zostaną pod fejletonami *Dziennika Polskiego* spływają w jeden, niżej podpisany, z trochę już odsłoniętą przyłbicą i może bardziej literacki, niż te, co siadywały, jak mysz na pudle i uważać musiały, zkąd wiatr wieje, albo nie wieje... A z resztą, co się zrobi — to wszystko idzie na kupę — dopiero potem, gdy np. już nasze Towarzystwo dziennikarzy polskich tak porośnie w pierze, że do własnego pałacu, własnymi powozami będzie zwoziło swoich członków na walne zgromadzenia, które będą, oczywiście, zawsze wtedy miały przepisany komplet i, gdy będziemy mieli siedm łóżek dziennikarskich w szpitalu, z których dwa w położniczym, na wszelki wypadek — a na jednem z tych honorowych stacyj życia, duch drapnie sobie do lepszego świata — wtedy znajdą się tacy, co porachują robotę i tak, czy owak, zawsze wypadnie, że co napiszesz piórem, tego nie wyrąbiesz toporem...

A zdałoby się nie jedno wyrąbać. Ile to razy na świecie mówi się wzdychając: dałbym rok życia, gdyby tego w niem nie było... I jabym go dał — ale nie wyrąbiesz... A jednak dwadzieścia dwa lat stale orzę tę niwę dziennikarską we Lwowie. Nie do mnie należy sądzić, co się tam naorało — ale w naszych stosunkach, troszeczkę zasługi w tem, że jestem i, że nie dałem się wyorać »najserdeczniejszym«, ani mnie też »sytuacje« nie pochłonęły... Nie mówię o tych, co położyli się pod ziemię — i wśród nich są tacy, co zanim tam poszli, chcieli drugich żywcem chować — ale o tych, co szli na czele, chociaż czołem nigdy nie byli, co nieśli łepetyny czupurnie — nos zadarty aż można było przez niego spojrzeć w serce i w żołądek... Pierwsze zatkane skrawkami frazesów i nie wiadomo, co tam pod niemi

Ślubna sukienka.

Powiastka z warszawskiego bruku

przez

Annę Neumann.

Czemuż kwiat jeden pod szronem ginie,
Gdy z drugim, słońce się pieści
I czemuż tyle, w jednej godzinie
„Szczęścia i bólu się mieści".

Nad ulicami Warszawy zmrok zapadał powoli, zmieniając szary, ponury dzień jesienny, w noc chmurną i ciemną. Gęsta mgła wilgotna przesycona wyziewami dymu, oddechem tysiąca ludzi, tchnieniem rozpusty i nędzy, podnósiła się, jak chmura sina od brzegów Wisły z wązkich, zaniedbanych ulicach przedmieścia i ciężyła nad miastem. Tu i owdzie, migotały już zapalone latarnie światłem niepewnem i drżącem w tej ciężkiej, dusznej, a jednak dotkliwie chłodnej atmosferze.

W bramie jednej, z ubogich, odartych kamieniczek na rynku *Starego miasta*, stanęła młoda dziewczyna w nędznym, wytartym, ale dość starannym ubiorze. Sukienna czapeczka, choć zniszczona trochę, składnie leżała na jasnych włosach dziewczęcia, a czarna sukienka spłowiała i połatana w wielu miejscach, zręcznie i starannie była upiętą.

Dziewczyna popatrzyła smutnie na błoto uliczne i wodę płynącą rynsztokami, smutniej jeszcze na końce swego lekkiego obuwia, wzdrygnęła się, jak gdyby dreszcz zimny przebiegł jej wiotką, szykowną postać wreszcie owinąwszy się lepiej wełnianą chustkę, którą miała na sobie, wyszła śmiało na ulicę.

Szła szybko, nie oglądając się wcale — ludzie potrącali ją często; — mężczyźni zaglądali w oczy, lub zabiegali jej drogę, zaczepiając nie zawsze przyzwoitemi uwagami i słówkami; dziewczyna jednak nie odpowiadała, ani słowa; odwracała tylko dumnie główkę i podwajała kroku. Nareszcie stanęła przed wysoką kamienicą na *Nowym Świecie.* Nad oknami 1-go piętra, w swietle gazowej latarni błyszczał wielki napis złoty. „Mme. Valérie Magazyn Mód". Dziewczyna wyjęła z kieszeni drobną kartkę, rzuciła na nią okiem, popatrzyła raz jeszcze uważnie na numer domu i weszła szybko na schody. Stanąwszy na pierwszem piętrze, nieśmiało pociągnęła za dzwonek.

Po chwili drzwi się otworzyły i przed wchodzącą, ukazała się niemłoda już, sztywna i wysznurowana postać sklepowej panny. Zmierzywszy wzrokiem, od stóp do głów, biedne zalęknione, nieśmiało na progu zatrzymujące się dziewcze, zapytała ostro:

— Czego panna chcesz tutaj?

Dziewczyna zamiast odpowiedzi podała trzymaną w ręku kartkę, na której, prócz adresu pani Walerji było jeszcze słów kilka kobiecem pismem skreślonych. »A! to pewnie od pani Rajskiej — proszę poczekać; — zaraz odpowiem pani.

I sztywna postać znikła za drzwiami drugiego pokoju, z którego dolatywały szepty, śmiechy i rozmowy wielu osób.

Dość długo czekać kazano biednej dziewczynie, która tymczasem rozglądała się ciekawie dokoła. Pokój, w którym stała wydał się jej bardzo bogato umeblowanym. W pośrodku stał stolik rzeźbiony, otoczony zgrabnemi krzesełkami, zarzucony dziennikami i rycinami mód. Jedwabne firanki zasłaniały okna, a po rogach umieszczone były wielkie zwierciadła. Nasza znajoma nie śmiała usiąść; rzuciła okiem na dzienniki i zbliżywszy się cichutko do zwierciadła, ze smutnym uśmiechem przyglądała się



Ksiądz Arcybiskup Kuiłowski,
nowo mianowany Metropolita unicki we Lwowie.
(Z fotografji T. Artychowskiego w Stanisławowie).

swej zgrabnej choć biednie wyglądającej postaci.

W tej chwili zaszeleściła portjera, zasłaniająca drzwi drugiej sali i głos jakiś odezwał się: „proszę tutaj". — Dziewczyna postąpiła kroków kilka i znalazła się w obszernej sali, w której pracowało ze dwa-

---

było, drugi porządnie wyładowany cudzemi pieczeniami, cudzą krwawicą i cudzą krzywdą...

Gdzież są teraz?

Nie szukajmy ich lepiej!... Nigdy się oni już nie znajdą. Jednym udało się dmuchnąć w świat na skrzydłach czterech wiatrów i myślą jeszcze zrobić karjerę; drudzy przemykają się chyłkiem i chcą już tylko dogryść życia, a jeszcze inni, choć nigdy nie chodzą tamtędy, zawsze im się śni pałac na ulicy Batorego...

Więc nie szukajmy ich! Sami się nie znajdą — a jeśli ich poszukają — to już nie dla nas... Zresztą, w korcu maku ludzie znajdują się. Góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z człowiekiem zawsze...

Mam list przed sobą z New-Yorku, w którym mi donoszą, że Kratter i Szydłowski chodzą razem na spacer i grywają w bilard. Czy można było przypuścić, że jedna góra z drugą górą przepłyną ocean i zejdą się przy czarnej kawie w Café Central na Noblestreet, gdzie trzecia góra, z hrabiowską koroną spełnia z taką elegancją obowiązki płatniczego kelnera, jak niegdyś w krakowskich Sukiennicach oprowydzała piękne panie po salonach Towarzystwa zachęty sztuk pięknych objaśniając je czarującą francuzczyzną...

Czasy się djabelnie zmieniły... Dawniej polacy płynęli do Ameryki po spiż... Puławskiemu i Kościuszce yankesi pomniki stawiali — dziś studiują w Ameryce kryminalistykę i dochodzą do takiej wprawy, że wyprowadzają w pole najbystrzejszych sędziów śledczych i najobrotniejszych adwokatów...

Ale po co ja to wszystko piszę?... A jakże się prześlizgnąć będąc kronikarzem przez sytuację, która ogarnia i do pewnego stopnia przygnębia nas wszystkich?

Przeskoczyć! — mówicie — od tegoś kronikarzem — argumentujecie — na djabła nam to wszystko, co się stało, a co się nie odstanie! — wołacie.. Dobrze — przeskoczę, ale zanim to uczynię, zatrzymać się musiałem nad tem pogorzeliskiem, nad którem jeszcze dosyć długo nie będzie można przejść do porządku dziennego, choć, jak tam przede mną w *Tygodniku*, wołają, żeby trzymać »uszy do góry«.

Uszy łatwiej trzymać, jak całego siebie...

Zresztą, jaśli mam prawdę powiedzieć, nie mogę bez uczucia smutku spojrzeć na tyle zmarnowanego, co gorsza, sponiewieranego kawału życia, które bądź, co bądź odbić się musiało na naszym publicznym dorobku...

No, i smutno mi — a tu każecie skakać...

Starość nie radość — mruknie ktoś pod nosem...

E, rozradujcie duszę, skąpcie ją w czystych krynicach naszych ideałów, a zmniejszy się w każdym człowieku starość na 50% i skoczyć można, nawet w ogień...

Ale nie tak to łatwo być dzisiaj w różowem usposobieniu. Nawet nasi filistrzy pospuszczali nosy na kwintę, bo... śledzie podrożały. Ja wprawdzie nie stroję swoich duchowych i cielesnych instrumentów na taką wysoką nutę — za śledziami nie przepadam, gdybym nie był dziennikarzem, chciałbym być nim, chociaż się nie raz samemu sobie drzazgi za paznogcie zabija, nie okrywam się płaszczem pesymizmu i poddaję się łatwo niebieskim migdałom — wierzę, nawet w odnalezienie zgubionej cnoty niewieściej, jeśli ją szukają uczciwe ręce męskie — ale wierzę święcie w to, że złe musi być odrobione dobrem i, że skoro to złe jest wynikiem pewnej sumy czynów ujemnych — to dobre musi wypłynąć z sumy czynów dodatnich. Aby, jednak, zebrała się ta suma dodatnia trzeba daleko więcej czasu, aniżeli na zebranie sumy czynów ujemnych. To, co się stało we Lwowie, jakby pioruny trzasły. Ale, co się ma stać po piorunach, po wyrządzonych przez nie szkodach — trzeba się będzie dobrze napocić zanim ślady piorunów zaora się i wyrosną na tem kłosy...

Poćmy się, a nie ustawajmy!... Im dalej, tem bliżej!...

Ja rozpoczynając szereg »Kronik niedzielnych« w *Tygodniku Narodowym* doraźną charakterystyką naszego ogólnego położenia — odstępuję w przyszłym numerze miejsca drugiemu koledze i żegnam czytelników... ze łzami w oczach, a powitam za miesiąc, z uśmiechem na ustach...

Krzywdzic.

dziescia kobiet różnego wieku i różnej urody. Jak na komendę zatrzymały się igły, ucichły maszyny i wszystkie oczy zwróciły się na wchodzącą. Młodsze panny zaczęły śmiać się i chichotać między sobą.

— A więc to panna jesteś hafciarką, o której pani Rajska mi mówiła — odezwała się najstarsza z nich, poważnie wyglądająca kobieta. — Widziałam jej robotę — zresztą, polecenie pani R. wystarcza mi. — Czy podejmujesz się panna tego oto haftu na białym atłasie? Haft ten musi być bardzo starannie, a szczególniej czysto wykończony, gdyż przeznaczony jest do ślubnej sukni dla hrabianki Witoskiej. Oto rysunek haftu — dodała wskazując ręką na rozłożony na stole papier.

Dziewczyna zbliżyła się do stołu i spojrzała uważnie na rysunek przedstawiający wieniec z lilij i niezabudek.

— Haft nie jest trudny — rzekła po chwili, ale trzeba będzie posiedzieć nad nim dni kilka.

— A co do ceny — odezwała się znów właścicielka magazynu — to zdaje mi się, że 10. rubli będzie dostateczną zapłatą.

Dziewczyna spuściła głowę, wiedziała dobrze, iż jej mozolna praca o wiele większą wartość mieć mogła i, że pani Walerja pewnie potrójnie ją w rachunku dla hrabianki policzy, nieśmiała jednak targować się. Przyszła jej na myśl jesień zimna, przypomniała sobie chłód w swej izdebce na poddaszu; trzeba było pomyśleć o ubraniu, obuwiu i potrzebach zimowych, a ona była tak biedną! tak samotną.

Skinęła więc lekko głową na znak, iż się zgadza na wszystko i westchnąwszy zcicha, zwinęła rysunek, podczas, gdy jedna z pracownic odmierzała lśniącą, śnieżną materję.

— Proszę o jedwabie do haftu — szepnęła nieśmiało.

— Możesz je panna kupić własnym kosztem — odpowiedziała ostro właścicielka magazynu.

Tak... proszę pani... tylko... bo to... i srebrnych nici potrzeba; — jąkała się biedna dziewczyna rumieniąc się, jak wiśnia.

No, no, — dodała pani Walerja, spojrzawszy uważniej na mówiącą i domyślając się zapewne jej ubostwa, sięgnęła do kieszonki po pieniądze. Oto dwa ruble na wydatki — proszę tylko zdać mi dokładny rachunek i pozostawić adres.

Dziewczyna zaczerwieniła się jeszcze bardziej; wstyd jej było przyznawać się przed tą gromadką do nędznej izdebki, którą zajmowała na poddaszu, do tego osamotnienia, do tej niedoli, która tam z każdego kąta wyzierała.

Wreszcie, schwyciła ołówek i nakreśliła drżącą nieco ręką: Janina Milecka, Stare miasto Nr. ***, 3 piętro.

— A pamiętaj panna, aby robota na wtorek była gotową; mamy pięć dni czasu: — w środę ślub panny W., a we wtorek suknia oddaną być musi.

I znów warknęły maszyny, zamigotały igły, a śmiechy i półsłówka pracownic pogoniły za odchodzącą i długo jeszcze szumiały w uszach biednej dziewczyny.

— Dla czego one śmieją się ze mnie — myślała w duszy — wszak i one z pracy rąk się utrzymują: nie jedna z nich biedna, może biedniejsza jeszcze odemnie?...

— Lecz nie... to chyba niepodobne — dodała w głos prawie, nie ma na świecie biedniejszej nademnie istoty. Ha! tak Bóg chciał — westchnęła smutnie i pomknęła chodnikiem ku domowi.

C. d. n.

Reforma należytości przenośnych.

Każdemu niemal wiadomo, jak uciążliwe były dotychczasowe przepisy o należytościach przenośnych, które stanowiły przedmiot aż nadto częstych i słusznych utyskiwań ze strony interesowanych. Dla złagodzenia uciążliwości tego tak powszechnie znanego podatku przenośnego, wprowadzone zostały wprawdzie przed kilkunastu laty przepisy o ulgach przy przenoszeniach własności nieruchomej przyznająca opust półprocentowy przy aktach przeniesienia od 1 do 2 lat w okresie najwyżej 10-letnim, a nadto osobne ulgi dla włościan — atoli ulgi te nie zdołały w zupełności uczynić zadość słusznym wymaganiom.

Otóż, najnowsze rozporządzenie ces. z 22. sierpnia, które wkrótce zacznie obowiązywać, wprowadza znaczną zmianę w odnośnych przepisach o należytościach przenośnych na korzyść całej ludności, a szczególnie ludności włościańskiej.

Ustawa ta ma także i tę zaletę, że upraszcza obliczanie należytości tak, iż niemal każdy, kto choćby tylko pobieżnie zapozna się z nowymi przepisami, potrafi z góry obliczyć, czy i jaka należytość przypadnie do zapłacenia od danego aktu przeniesienia. Wreszcie i to na pochwałę nowej ustawy przytoczyć potrzeba, że nie zna żadnych »dodatków do podatków«. — W dwóch kierunkach zawierają nowe przepisy zasady postępowe z powodu warunkowego przyznania ulg należytościowych, a mianowicie przy aktach przeniesienia mniejszych nieruchomości między najbliższych krewnych — takich, które właściciel sam obrabia, względnie zamieszkuje.

I tak, jeżeli przedmiotem przeniesienia własności (darowizny, sprzedaży, zamiany) jest grunt, lub posiadłość, stanowiąca gospodarstwo rolne przez samego właściciela uprawiane — wartości do 2500 zł.. czyli 5000 koron, a przeniesienie własności następuje w rodzinie najbliższej t. j. między rodzicami, dziećmi, lub małżonkami — w takim razie akty przeniesienia własności są zupełnie uwolnione od opłaty należytości przenośnej i przy wartości takiejże nieruchomości nad 5000 koron do 10000 koron opłata wynosi $\frac{1}{2}\%$. Gdy przeniesienie następuje na dalszych krewnych, lub obcych, którzy sami oddawać się będą gospodarstwu, lub zamieszkiwać dom, opłata wyniesie przy wartości do 5000 kor. połowę, zaś przy wartości do 10000 kor. trzy czwarte należytości zwykłej ($1\frac{1}{2}\%$ resp. 3%).

Nowa ustawa należytościowa w ogóle rozróżnia 3 grupy interesów i stosownie do tychże, różnie jest oznaczoną.

Pierwszą grupę stanowią akty przeniesienia własności (darme i odpłatne między żyjącym i na przypadek śmierci) między rodzicami, dziećmi i małżonkami. Należytość wynosi 1% (procent) przy wartościach do 15.000 zł., czyli 30.000 koron, zaś $1\frac{1}{2}\%$ przy wartościach nad 30.000 koron w miejsce dotychczasowej należytości $3\frac{1}{2}\%$ (przy odpłatnych) względnie $1\frac{1}{2}\%$ (przy darowiznach) z dod. 25% od tych należytości.

Drugą grupę stanowią spadki, oraz darowizny między innymi (dalszymi) osobami — aniżeli rodzicami, dziećmi i małżonkami. Należytość wynosi $1\frac{1}{2}\%$ przy wartościach do 2.000 kor., zaś 2% przy wartościach nad 20.000 koron bez żadnego dodatku (dotychczas 25% do każdej należytości) bez względu na wysokość długów hipotecznych, od których dotychczas należało się opłacać osobno należytość $4\frac{1}{3}\%$.

Trzecią grupę stanowią odpłatne akty przeniesienia wartości nieruchomej (kontrakty kupna, sprzedaży, zamiany) między żyjącymi, o ile nie zachodzi to między rodzicami, dziećmi, lub małżonkami. Należytość przenośna wynosi 3% ponad 10.000 koron, zaś $3\frac{1}{2}\%$ przy wartościach ponad 10.000 koron do 40.000 koron — wreszcie, 4% przy wartościach ponad 40.000 bez żadnego dalszego dodatku.

Rozumie się, iż potrzeba będzie stosunek pokrewieństwa wykazać dokumentami tj. metrykami itp., aby korzystać z ulg należytościowych tj. z uwolnień od należytości, względnie z opłaty niższej należytości, jak również wykazać będzie potrzeba prawdziwość tego, iż nabywca sam uprawiać będzie rolę i zajmować się gospodarstwem, tj., że nie będzie przedsiębiorcą, spekulantem, który będzie ciągnął korzyść z gospodarstwa przez inne osoby uprawianego.

Należytość od wartości dożywocia. Przy odstępowaniu gruntów włościańskich przez rodziców na rzecz dzieci *za wymową* sobie mieszkania, pożywienia, lub opłaty gotówki, wymierzaną będzie na przyszłość od 5-ciokrotnej wartości rocznej tej wymowy, a nie jak dotychczas od 10-cio i 15 stokrotnej wartości.

Przy sprzedaży nieruchomości nabytej w spadku przez mniej, niż 2 lat, ma być raz jeden tylko należytość uiszczoną, a nie, jak dotychczas 2 razy. Jeżeli z pomiędzy kilku spadkobierców do spadku powołanych jeden obejmie cały spadek (w razie spłaty, lub zrzeczenia się spadkobierców), należytość ma być wymierzoną tak, jak się nabywa w drodze sukcesji, a nie, jak się dotychczas praktykowało, iż wymierzano należytość, co do ustąpionych części, lub praw spadkowych, jako od fikcyjnych nowych różnych interesów prawnych między żyjącymi, co znacznie więcej wynosiło. Wreszcie, zmniejszone zostały należytości od tych nieruchomości, które stanowią służebność użytkowania; znacznie zaś łagodniejsze zasady stosowane będą przy ocenianiu kontraktów dotyczących podziału wspólnej własności. Nie da się zaprzeczyć tedy, że nowa ustawa o należytościach przenośnych znaczne wprowadza ulgi i, że ulgi te wyjdą w największej części na korzyść ludności włościańskiej kosztem tych, którzy nabywać będą większe majętności. Skarb państwa przewiduje z tego stratę około 3 miliony, lecz też przepisy nowe będą nader ściśle przestrzegane i z całą surowością stosowane.

Dr. R. Kulczycki.

Czy możemy mieć przemysł własny?

Co to jest przemysł, a w szczególności przemysł własny? Darują czytelnicy, że rozpoczynamy od frazesu, znajdującego się w każdej książce przynoszącej naukę elementarną. Zastanówmy się atoli, że u nas, ani rzecz sama, t. j. przemysł, ani teorja o nim, nie są popularnemi.

Stwierdziwszy to, powtarzamy pytanie i odpowiadamy: przemysł własny, czyli ojczysty, jest to wytwórczość dokonywana przez siły krajowe z płodów surowych własnej ziemi. Przemysł atoli, pomimo, iż może być narodowym, nie może się, jednak, zamykać w ciasnych granicach jednego kraju. Może być wyłącznie polskim, musi wszakże jednocze-

śnie znajdować, jak największe rozpowszechnienie. Wówczas dopiero zyskuje w istocie siły żywotne. Do tego, jednak potrzeba większej siły rzutu tak w jednostkach, jak w całem społeczeństwie. Siły te zaczynają się budzić. Wywołuje je żelazna konieczność. Jest to najskuteczniejszy bodziec. Potrzeba jest jedynym mentorem pomysłowości i pracy. Wielu już w obec oczywistej nędzy w kraju wołało o radę. Uczciwe to głosy, ale dopiero głosy ubolewania.

W obec rozpowszechnionej niemal u granic kraju wytwórczości na olbrzymie rozmiary, czyli fabrycznej — przeciwstawił nasz kraj dotychczas, z małymi wyjątkami, jeno wytwórczość drobnych rękodzielni. Współzawodnictwo oczywiście nie tylko trudne, ale po prostu niemożebne. Jakkolwiek więc piękne i szlachetne są hasła do popierania drobnego i artystycznego przemysłu krajowego, to jednak tylko piękne i szlachetne. *Do walki* przemysł taki nie stworzony. Młodzieniec nie może pokonać olbrzyma. Tylko wytworzenie gałęzi przemysłowych na wielkie rozmiary, ratować może sytuację.

Kto chce atoli działać skutecznie, rozpoczynać musi pracę stopniowo i systematycznie. Początków hurtownej produkcji nie posiadamy prawie. Trzeba ją rozpocząć. Idzie o to, od czego? Czy przemysł nasz ojczysty może natychmiast znaleść owe odległe targi zbytu, które znajduje każdy wielki przemysł? Odpowiedzieć można, że jeśli dojdzie do pewnego stopnia doskonałości, to sam sobie utoruje drogę. Działać stopniowo i systematycznie, znaczy tyle, co postawić przemysł własny tak, ażeby najsamprzód wytwarzać wszelkie przedmioty *najprostsze*, *codziennego użytku*, przedmioty niezbędne najliczniejszym warstwom. Skoro miljony ludności nabywać będą mogły tanio najpotrzebniejsze artykuły z fabryk krajowych, rozpocznie się ruch i życie. Ruch i życie w handlu i ukaże się równocześnie brzask znośniejszej doli dla ludzi, którzy znajdą pracę.

Pierwszym tedy stopniem wielkiego przemysłu w kraju, w którym i ludność zalegla i przemysł się opóźnił — powinno być wytwarzanie rzeczy prostych, jak płótna tanie, skóry, sukna, jak najtańsze narzędzia, ozdoby dla włościan, jak harasówki, czyli czerwone taśmy wełniane, których miljony metrów rozchodzi się pomiędzy ludem. Niezmiernym także odbytem cieszą się wśród ludu obrazy i obrazki kolorowe, chromolitograficzne, fabrykowane i sprowadzane z Niemiec, lub z Wiednia. Czyliżby założona na akcje, lub udziały jedna i druga fabryka nie dały większych i pewniejszych zysków, niż ryzykowne spekulacje giełdowe? Pierwszorzędną zaś rolę odegrać mogą fabryki wszelkich przedmiotów spożywczych, zwłaszcza w kraju *rolniczym*, który, niestety, mąkę sprowadza z Węgier, a chleb z Morawy.

Ale, powtórzmy raz jeszcze: praca musi być systematyczną i zacząć od rzeczy najpotrzebniejszych ogółowi. Bo tam tylko, gdzie pewne niezbędne artykuły znajdują nabywców w miljonach ludności, bogaci się kraj i społeczeństwo.

Ktoby chciał rozpoczynać od wytwarzania rzeczy wykwintnych, a na wielkie rozmiary w kraju ubogim, podnosiłby bunt przeciwko przyrodzonemu porządkowi — a bunt taki na niwie ekonomicznej, nie tylko ostać się nie może, ale mści się straszliwie na społeczeństwie. Pomstę zaś niesie złamany porządek praw przyrodzonych: niosą ją zawody, które zrażają; niesie zniechęcecie, które paraliżuje siłę rzutu, tak bardzo potrzebną w warunkach, w jakich się znajdujemy.

Dziś, kiedy niemal cała zagranica narzeka na bezprodukcję fabryczną i szuka coraz nowych targów zbytu z poświęceniem ofiar w mieniu i w ludziach, my, wytwarzając mały na własne potrzeby, jesteśmy dla *przemysłu obcego*, jakby *jedną z kolonij półdzikich*, jesteśmy źródłem wyzysku. Jako ciągle i systematycznie wyzyskiwani, nie dziwmy się nędzy ogólnej.

Pamiętajmy natomiast, co powiedział przed laty nasz, polski ekonomista:

„*Ludzie, którzy zeszli na nędzę, wymierają, a w nich wymiera naród*“.

Straszna to prawda, którą stwierdza na sobie społeczeństwo nieprzewidujące. Ale *stokroć lepsza* jest prawda, lubo tak gorżka, *niż pociecha* zawarta w stereo typowem: „jakoś to będzie“. Pod naciskiem, bowiem, stwierdzonych faktów i konieczności, zmieniają się poglądy i usposobienia. Zmiana ku lepszemu, lubo w chwili krytycznej, jest widoczną. Znamienną bowiem cechą chwili współczesnej, są nie luźne już głosy opinji publicznej, domagające się ściślejszego obrachunku dorobków, lub strat na niwie ekonomicznej. To znaczy, że w społeczeństwie są umysły, które pragną skierować ruch na inną, racjonalniejszą drogę. Myśl pobudza i od słowa prowadzi do głębszej rozwagi, a nareszcie do czynu. Według nas, najpożyteczniejszą byłoby obecnie czynnością, działanie zbiorowe w każdej gałęzi przemysłu tego, który w kraju posiada warunki żywotności. Jeżeli się znajdzie, bądź to jednostka, bądź kilku ludzi, którzy siły rozbite potrafią skupić i w ruch je wprowadzić w chwili najwłaściwszej — to zasługa ich w pracy ekonomicznej będzie równą zasłudze najdzielniejszych bohaterów, którzy zasłaniali kraj własną piersią. Ci bowiem bronili kraj od przemocy ludzkiej — a nowi szermierze na niwie ekonomicznej bronić będą rodaków od przemocy sił przyrodzonych — od śmierci głodowej i charłactwa. Walka to trudna jeno przy braku dobrej woli.

Zadaniem tych nowoczesnych szermierzy będzie przygotowanie podstaw dla wielkiego przemysłu — zgromadzenie zasobów — zużytkowanie sił martwych, wlanie życia w to, co wprawdzie żyje we wszechświecie lubo nieorganicznie, ale co jest martwe dopóty, dopóki nie wyzyskane do potrzeb ludzkich. Ludzie początkujący w takiem dziele, stworzą liczne przybytki pracy, zapobiegną nędzy i wymieraniu jednostek, a w nich i stopniowemu wymieraniu narodu.

Czemże zwycięża obcy przemysł? Oto zespoleniem sił drobnych w siły zbiorowe, więc potężne. Zwycięża niemniej ścisłością w wypełnianiu obowiązków i karnością. Postawmy przeciw obcemu zespoleniu, nasze zespolenie, przeciw karności karność, przeciw ożywionej czynności i zabiegliwości, naszą czynność i zabiegliwość. Natomiast, wynik usiłowań i pracy nie będzie wątpliwym — pod jednym atoli warunkiem, ażeby interesów przemysłowych nie powierzono dyletantyzmowi. Tylko bowiem praca, kierowana wiedzą zawodową, zasługuje na nazwę pracy z celem wytkniętym.

Wrotysz.

(Dokończenie nastąpi).



Antym Nikorowicz,
Dyrektor (pierwszy) Galicyjskiej Kasy Oszczędności we Lwowie.
(Z fotografji P. Pechtera w Tarnopolu).

Dżuma.

Jeżeli mamy wierzyć telegraficznym wiadomościom z zagranicy, dżuma pojawiła się również w stolicy Portugalji, a raczej istniała tamże od dłuższego czasu nieznana ogółowi, dzięki szczególnej dyskrecji rządowych władz sanitarnych. A nie działo się to niestety z pobudek czysto moralnej natury, z chęci oszczędzenia ludności stolicy deprymującego wrażenia, jakie bezwątpienia wywołaćby musiało publiczne, urzędowe stwierdzenie pojawienia się tej strasznej epidemji. Fakt istniejący zatajono ze względu na nieuniknione w następstwie zarządzenia sanitarne, które przeprowadzone i zastosowane energicznie, odpowiednio do ostatnich wyników badań naukowych, musiałyby sprowadzić niechybnie zupełny zastój w handlowych i finansowych stosunkach miasta. Zarządzenia te dadzą się wyrazić krótko i zwięźle: zupełne odcięcie okolic zarazą dotkniętych od innych miejscowości, spalenie nie tylko zwłok zarażonych na dżumę, ale i wszelkich przedmiotów, które w jakiejkolwiek styczności z chorymi pozostawały, a nawet domów, o ile to możebne. W ten sposób energiczny i do ostatecznych

granic bezwzględny, zapobiegł rząd rosyjski w 1878—1879 dalszemu szerzeniu się dżumy nad brzegami Wołgi. Niewątpliwie, że sposób ten łatwiejszy do zastosowania w półdzikich miejscowościach, o wiele więcej nastręcza trudności, a nawet do pewnego stopnia staje się niemożliwym w krajach o wysokiej kulturze i rozgałęzionych stosunkach handlowych. Protesty izb kupieckich i przemysłowych, co więcej, groźne zaburzenia w Oporto, najlepiej świadczą, jakiem uznaniem cieszą się chociażby najzbawienniejsze w zasadzie, ale przykre w rzeczywistości zarządzenia sanitarne.

Dziwić się należy, że dzieje się to w społeczeństwach stosunkowo wysoko ukształconych, w pośród których, mało znajdzie się takich, którzyby nieznali, jeżeli już nie samej przyrody epidemji, to przynajmniej jej tak dawnej i tak głośnej historji. Pominąwszy wieki starożytne, w których dżuma występowała epidemicznie, jużto w Egipcie, jużto w Syrji, skąd przedostawała się do Europy, jak np. w r. 430 p. Chr. do Aten, przedewszystkiem wspomnieć należy pamiętną zarazę w 6 wieku p. Chr., następnie w wieku 14. tak zwaną „Czarną śmierć“, która zdziesiątkowała ówczesną ludność, nareszcie sporadyczne jej wybuchy w różnych krajach Europy w wieku 16 i 17 (zaraza w Marsylji). Nie brakło jej również i w ostatniem stuleciu w Grecji i krajach naddunajskich; w roku 1835 wyludnia Kairo, a w roku 1878 epidemja w Wonilance nie mały wznieciła popłoch. Z tych ostatnich czasów pochodzą dokładniejsze badania i obserwacje, które w ostatnich latach znacznie postąpiły, dzięki Kochowi, lekarzowi francuzowi Yersinowi i japończykowi Kitasato, którzy studja swe przeprowadzali u samego źródła zarazy. Jako wynik tych badań zaznaczyć należy istnienie dwoistych zarazków dżumy pojawiających się we krwi, śledzionie i gruczołach chorobą dotkniętych (Bacterium paestis bubonicae). Są to drobniutkie, błyszczące, okrągławe twory, jużto pojedyńczo rozsiane, jużto skupiające się w 4—6 w formie łańcuszka. W temperaturze pokojowej umieszczone, w odpowiedniej odżywce, jak glicerynie z żelatyną, lub bulionie, dają tak zwaną sztuczną hodowlę, tj. rozwijają się w wielkie kolonje, z których bardzo nieznaczna ilość zaszczepiona zwierzęciu, sprowadza typowe objawy choroby. Odkrycie tego dwoistego zarazka dżumy, nietylko usunęło wiele wątpliwości, co do istoty i sposobu szerzenia się epidemji, ale zarazem obudziło uzasadnione nadzieje, że drogą dalszych doświadczeń, będzie można odnaleść odpowiednie środki ochronne, a zarazem lecznicze. Przedewszystkiem upaść musiały mylne zapatrywania, co do samoistnego powstawania dżumy w Europie.

Właściwem jej siedliskiem jest Mezopotamja, Tybet, dolny Egipt i wschodnio afrykańska Uganda, kraje, w których zupełne zaniedbanie uprawy ziemi, nagromadzenie w olbrzymich ilościach gnijących substancyj organicznych, nadmierna wilgoć zarówno ziemi, jak i powietrza, przy wysokiej temperaturze, niesłychanie sprzyja rozwojowi wszelkich zarazków. Ztąd zarazek zostaje zawleczony i rozwija się nadal tam, gdzie ludność żyje w ogólej nędzy, dotyczącej zarówno ubrania, jak i odżywiania i gdzie pojęcia o najzwyklejszych zasadach hygieny są najzupełniej nieznane. Na tej zasadzie dżuma szerzy się z ogromnem nasileniem z jednej strony w Chinach, gdzie ludność żyje w bajecznem niechlujstwie, z drugiej w Azji mniejszej, gdzie, jeżeli bywają jakie rozporządzenia sanitarne, to rozbijają się o zupełną w tym kierunku obojętność prawowiernych muzułmanów. Do Europy dostaje się dżuma wyłącznie prawie za pośrednictwem wszelkich artykułów handlu, jakkolwiek zrozumieć łatwo, że również możliwem jest zawleczenie tejże, przez osoby, przybyłe wprost z któregoś ogniska zarazy. Dalsze drogi, jakimi toczy się zawleczony zarazek, są bardzo rozmaite. Jest rzeczą dowiedzioną że małe ranki na ciele, nieznaczne zadraśnięcia i rozpadliny skóry, stanowią wystarczającą furtkę, przez którą bakcylus dżumy wtargnąwszy do organizmu, rozwija się w sąsiednich, najbliższych gruczołach, zajmując z czasem cały system limfatyczny. Ztąd w ogóle brud i pył osiadający na ciele, może stać się niebezpiecznym, gdyż bardzo często zawiera zasuszone zarazki, pochodzące z wydzieleń chorych. Zarazki te, w stanie suchym unoszące się z wiatrem, a nadto muchy, które, jakto stwierdzono, bardzo często przenoszą na sobie wydzieliny chorych, dały powód, że do niedawnych czasów wierzono w wytwarzającą się w pewnym obrębie, tak zwaną „atmosferę zaraźliwą“ (morowe powietrze), której ulegały osoby nietykające się, ani bezpośrednio, ani pośrednio z chorymi. W dalszym ciągu, niesłychanie ważną rolę odgrywa w czasie trwania epidemji dobra woda do picia. Janson, który przeprowadzał bardzo szczegółowe w tym kierunku badania w Chinach i Japonji, twierdzi, że jedną z najgłówniejszych przyczyn szerzenia się gwałtownego dżumy w Chinach, jest brak wszelkiej kanalizacji w gęsto zamieszkałych miastach, gdzie grunt jest dosłownie przesiąkły odchodami ludzi i zwierząt. Nareszcie, uznać należy, jako pewnik przez tegoż samego badacza stwierdzony, że zarazek dżumy z równą łatwością przenosi się na zwierzęta, a mięso zwierząt chorych spożyte, wywołuje niechybnie jej objawy. Naturalną rzeczą, w pierwszym rzędzie ulegają chorobie zwierzęta żywiące się wszelką padliną i odpadkami, np. nierogacizna, oraz szczury, gnieżdżące się w kanałach i kloakach. W ogóle, na punkcie szczurów, to rozmaici zawodowi i nie zawodowi hygjeniści, znajdują wdzięczny materjał do pisania strasznych historyj, po których przeczytaniu, nerwowy czytelnik siłą wyobraźni mimo woli widzi legiony tych wstrętnych stworzeń, wyruszających ze swoich kryjówek w celu szerzenia zarazy.

Dr. Henzel.

(Dokończenie nastąpi).

Na balu i po balu.

Noweletka.

Żegoty Krzywdzica.

To było, proszę państwa, na balu.

Bal w domu „przeciętnego“ obywatela, to jest takiego, który się obywa bez wielu rzeczy i niektórych innych, z właścicielem domu zawsze jest „na bakier“, a płacone przeróżne raty przecina z niezapłaconemi — bal w domu takiej rodziny sprawia nierzadko rodzaj trzęsienia ziemi. Taki bal przewraca wszystko do góry nogami. Z wyjątkiem, oczywiście, inwentarza żywego, bo ten wówczas nabiera szczególniejszej energji, wyjątkowego temperamentu i animuszu, który w zwykłych okolicznościach życia wystarcza zaledwie na wyrzucenie nakrętnego żyda za drzwi... Zresztą, bywają różne trzęsienia ziemi. Impresjonista namaluje wschód słońca, lokaj przez pomyłkę przewróci obraz na ścianie do góry nogami i będzie niechcący trzęsienie ziemi w Lizbonie. Z balami tak samo: w jednym domu, jest on uśmiechem życia, w drugim, na to się chyba tylko przyda, że siedm od czterech nie mogę — pożyczam od żyda,.. Ale mniejsza o to, jaki to był bal, jak mniejsza o mimowolny rym z siódemki i żyda — ciekawsze, co się na tym balu stało...

Więc w dosyć przestronnym saloniku państwa Borykalskich było tłumno, wesoło, gwarno i jasno. Zapalono wszystkie lampy po bokach, jedną dużą postawiono na piecu, a ze środka sufitu zwieszał się gorejący świecznik pożyczony „z grzeczności“ od kupcowej z pierwszego piętra, ktorej mąż handlował słodem i umarł na cukrową chorobę.

Przy wsuniętym w kąt pianinie siedziała kobieta, ani młoda, ani stara, ani ładna, ani brzydka — jedna z tych, co się najmuje na bale i pobudza nogi do figlarnej wesołości sama zapomniawszy kiedy była wesołą. Z pod jej kościstych palców wybiegają wieczorem polki, walce, mazury, równo i potoczyście, jak w dzień z pod tych samych palców spływają obrobione falbany z warczącej maszyny do szycia. Grała i patrzyła przed siebie na ścianę. Może nie miała co z oczami robić, a może jej się podobał zawieszony nad pianinem olejodruk przedstawiający: „Wesele w Portugalji“.

Tymczasem, szklista posadzka w salonie opustoszała — przestano tańczyć, ale dźwięki „tramblantki“ nie ustawały.

Do grającej zbliżył się rozbawiony mężczyzna.

— Proszę odpocząć! — przerwa!

Pianino zamilkło.

— Pani — mówił ten sam chłodząc się chustką od nosa — za nadto gorliwie spełnia swoje obowiązki...

Kobieta przestała patrzeć na obraz opuszczając wzrok na klawisze i lewą ręką dyskretnie poczęła brzdąkać po nich.

— Ta proszę pani — odzywa się drugi pan tym lwowskim akcentem, który przypomina smak nie osolonej jajecznicy — gdyby którego z nas »szlag« trafił, toby pani nie przestała grać?..

— Jakby mi nie kazano zaprzestać, grałabym dalej — odpowiedziała cicho kobieta.

— Ta, przynajmniej, zmieniłaby pani na marsza pogrzebowego!...

— Dla mnie wszystko jedno, co gram, a temu panu, coby go »szlag« trafił, zdaje mi się, także byłoby wszystko jedno — odparła muzykantka, a na ustach zaigrał uśmiech blady, ale złośliwy.

— Co też ten osioł może gadać tej kobiecie ?...

— Co?!...

— Ja mówię o ośle — odparł młody człowiek stojący obok i poprawiając sobie *pinze-nez.*

— Ale przecież może być tu więcej osłów...

— Chodzi mi tylko o jednego tymczasem.

— O którego?

— Ten, pod oleandrami: Turcio..,

— No siedzi koło pani Michaliny, szampańskiej, wdówki, a ciepłej,... jak... na

razie nie mam porównania, ale ci jutro powiem.

— Co on może jej kłaść w uszy od pół godziny?...

— Zazdrosny jesteś!... nie bój się, nie wywierci on jej...

— Daj — no pokój!... nie puszczaj się na dowcipy. bo dostaniesz zapalenie mózgu...

— Ta, czego chcesz ode mnie! spędź go z pozycji i dobra!...

— O! lubię bydło, ale w polu...

— Józek! — ta, czego ty chcesz ode mnie? ja wiem, że się w niej kochasz, ale co ja temu winien? Turcio psia kość ma blaty i do tego kluczyk z tyłu...

— Z tyłu?...

— Został szambelanem, ta ja nie wiem po co ma kluczyk i do tego z tyłu. — No, ale może nim otworzyć do serca pani Michaliny... Kobiety słabe mają zamki... Ty Józek, kajdaniarzu, wytrycha najczęściej używałeś... Ale wdówki nie daj sobie zdmuchnąć, bo to ciepła wdówka, jak... aha!

— Co?...

— Już mam to porównanie — uważarz ciepła, jak promienie słońca tak kolo godziny 5. po południu w sierpniu — prawda? dobre porównanie?

— Głupie!

— A to jest może obrażające?...

— Jak uważasz.

— No, to daj pyska swema Antkowi, a jak ci będzie potrzeba wytrycha, to przyjdź do mnie...

Pocałowaii się z dubeltówki.

Józek okrążył salon i podszedł zwolna pod trzy oleandry, które zasłaniały kanapkę stojącą frontem do salonu.

Na tej, właśnie, kanapce siedzieli pani Michalina i Turcio.

Józek stanął za oleandrami i zaczął się przysłuchiwać rozmowie — nie widziany przez rozmawiających. — Turcio nieco zwrócony do wdówki okręcał i odkręcał na palcu sznurek od monokla. Wdówka niedbale poruszała wahlarzem i przymrużywszy oczy słuchała młodego człowieka z nieokreślonym uśmiechem na ustach.

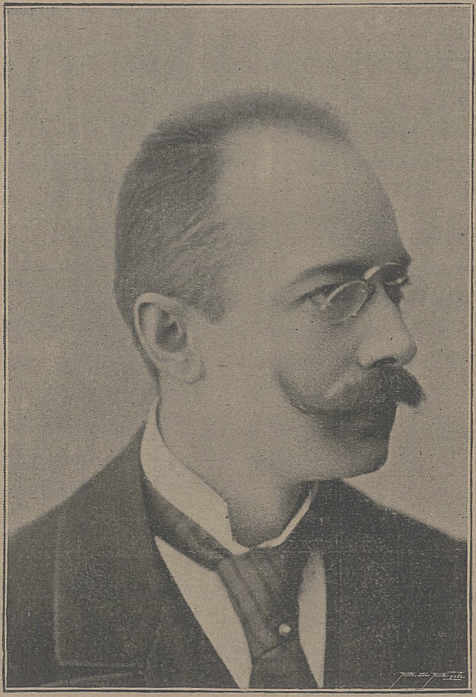
— Pani mi nie uwierzy, ale człowiek przywiązuje się serdecznie do drobnostki i brak jej, może nawet, zaboleć...

— Ale dlaczegoż? wierzę — wtrąciła i silniej poruszyła wahlarzem.

— Ja, proszę pani, miałem ołóweczek, kupiłem go u Niemojowskiego, maleńki ołóweczek, nosiłem go tu, zawsze, w kamizelce od bardzo dawna — lata całe. Przyzwyczaiłem się do niego, jak do przyjaciela. Przed paru dniami zgubiłem go. Proszę pani, to się wydać może sentymentalne, ale brak tego ołóweczka, tak mnie zabolał, że bardzo...

— Wyobrażam sobie — przerwała z kokieteryjnym przekąsem pani Michalina — coby się z panem działo, gdybyś zamiast ołóweczka, zgubił np. serce...

— O, tak jest, proszę pani, słowo daję, jeśli się nie żenię, to tylko dlatego, że się boję, abym przypadkiem wdowcem nie został... I znowu, jeśli pani mam prawdę powiedzieć, ja nie wiem dlaczego, ale wdowieństwo kobiety, no, naturalnie, młodej, ładnej i... chciałem powiedzieć — taki na mnie rzuca nie przeparty urok, że bardzo... Ja, gdybym tego... to los mój, tylko wdowie...



Dr. Jan Steczkowski

Dyrektor (drugi) Galicyjskiej Kasy Oszczędności we Lwowie.

(Z fotografji Nikopoli — „Stella“ we Lwowie).

— Mazur! grzmotnął po salonie głos aranżera i tupania poczęły się mieszać z energją i rytmem posuwistego tańca...

— Wdowa, czy panna? — zawołał czupurny tancerz stając przed Turciem i trzymając za ręce dwie tancerki, z których, oczywiście, każda mogła by panieństwem, lub wdowieństwem uszczęśliwić jakiego śmiertelnika.

— Wdowa! zawsze wdowa! zerwał się Turcio i rzuciwszy przeciągłe spojrzenie na panią Michalinę, puścił się mazura.

Pani Michalina na kanapce pozostała sama. — Józek wysunął się z za oleandrów, chwycił przechodzącego Antka za rękę:

— Słuchaj Antek! proszę cię! — idź, usiądź tam koło niej, koło pani Michaliny i... zaczął mu szeptać do ucha...

Antek uśmiechnął się, potrząsnął głową, postąpił kilka kroków i usiadł na kanapce koło wdówki.

— Cóż to, nie tańczysz pan? zapytała pierwsza.

— Tańczyłem, ale smutno mi...

— Miałeś pan dziś pogrzeb?...

— Ta, niby coś na kształt tego...

— Na serjo?...

— Wie pani — miałem ołóweczek, kupiłem go u Niemojowskiego, maleńki ołóweczek, nosiłem go zawsze w kieszonce, lata całe, przyzwyczaiłem się do niego, jak do przyjaciela. Przed paru dniami, zgubiłem go. Brak tego ołóweczka, tak mnie zabolał, że bardzo...

Pani Michalina opuściła wahlarz na kolana, poczęła się uważnie przypatrywać Antkowi, ale nic nie odpowiedziała.

— Trzecie dwie pary! zabrzmiała mazurowa komenda.

— Aha! ja tańczę! zerwał się Antek i pozostawił wdówkę samą.

Po chwili zbliżył się do niej widocznie dobry znajomy, bo mu rękę podała i wesoło rzekła:

— Dlaczego pan kryjesz się przede mną?

— E, nie, ale miałem zmartwienie)..

— No?...

— Miałem taki ołóweczek, który nosiłem zawsze przy sobie w kamizelce, całemi latami — przyzwyczaiłem się do niego, jak do przyjaciela — no, i przepadł mi — to mnie dziwnie zabolało...

— Ołóweczek — rumieniąc się poczęła szybko mówić wdówka — ołóweczek, ołóweczek, a gdzie go pan kupił? u Niemojowskiego prawda?

— Tak jest.

— Ten sam... ten sam!... Co to wszystko właściwie ma znaczyć? Pan także zwracając się szybko do radcy, który się do niej przybliżył — pan także, mówiła podrażniona wdówka wstając z kanapki — pan także, niezawodnie zgubiłeś ołóweczek i przychodzisz prosić o kondolencję...

— Właśnie — może go pani znalazła?...

— Nie! to jakaś ukartowana mistyfikacja!... Aha! proszę pana zwróciła się cała w płomieniach do nadchodzącego Turcia.

Tymczasem przestano grać i tańczyć.

Historja o ołóweczku rozbiegła się po salonie — otoczono panią Michalinę.

— Proszę pana — mówiła nieco podniesionym głosem — co pan tu za historje urządza z ołówkami?!...

— Ja pani! tłomaczył się niemal przerażony Turcio — słowo honoru daję, miałem, rzeczywiście, ołóweczek...

— Chyba pan miałeś cały magazyn tych ołóweczków i rozdawałeś ua wszystkie strony!... I pan, i ten pan, i pan tu — machając na różne strony wachlarzem — wszystko pogubiło ołówki i wszyscy z tem do mnie przychodzą!...

— Ależ, proszę pani — submitował się Turcio — ja, doprawdy, nie rozumiem...

— Pan nie rozumiesz — ale ja rozumiem — przerwała dość gwałtownie do do głębi już rozdrażniona wdówka. — Chciałeś pan zażartować z kobiety, za którą nikt niema obowiązku ująć się... Daruje pan — może to po szambelańsku, ale nieszlachetnie — dodała mając już łzy w głosie...

— Pani pozwoli, że ja tę sprawę załatwię — rzekł z głębokim ukłonem Józek.

— Pan? co? jakto?

W ładnych oczach kobiety zalśniły się łzy wdzięczności...

— Oto moja karta panie szambelanie — odezwał się powoli Józek do Turcia — dalszy ciąg, naturalnie wiadomy panu...

— Z przyjemnością — odparł Turcio prostując się — muszę, jednak, zauważyć, że po raz pierwszy w życiu dowiaduję się, aby zgubienie mojego własnego ołówka, mogło być dla kogokolwiek obrazą... Trudno — jestem gotów na każde pańskie żądanie!

— Służę pani! zwrócił się Józek do zarumienionej wdówki.

Pani Michalina wzięła go pod ramię i wśrod ogólnej ciszy opuścili salon.

* * *

W kilka dni później, Józek lizał się z dość ciężkiej rany, którą mu zadał w pojedynku Turcio — w parę zaś miesięcy, gdy się już wszystko zabliźniło — spadł z panią Michaliną z ambony, a potem, naturalnie, znowu oboje spadli w objęcia małżeńskie... Czy jednak mąż objaśnił żonie historję o ołóweczku — wątpię...

Zamknięcie rachunków GALICYJSKIEJ KASY OSZCZĘDNOŚCI we Lwowie.

Rachunek bilansu z dniem 31. grudnia 1898 r.

Stan czynny.

	Stan czynny		Walutą austr. zł r.	ct.
I.	Gotówka		255 847	47
II.	Pożyczki na dobra		8,936.457	76
III.	Pożyczki na realności		9,692.539	05
IV.	Pożyczki gmin i powiatów		1,217.864	40
V.	Pożyczki towarzystw zaliczkowych na skrypt		4.350	—
VI.	Zaliczki na zastaw papierów wartościowych		15.683	—
VII.	Rachunki bieżące na podkład papierów wartościowych		1,805.338	90
VIII.	Rachunek bieżący pp. Szczepanowskiego, Kühnela i Froelicha		2,197.519	30
IX.	Weksle		7,830.861	42
X	Weksle zaskarżone		210.204	50
XI.	Efekta funduszu obrotowego		296.500	—
XII.	Lokacje w bankach		54.586	27
XIII.	Druki i księgi w zapasie		8.098	76
XIV.	Sprzęty i bibljoteka Zakładu		18.142	28
XV.	Odsetki zaległe za r. 1898		271.799	39
XVI.	Strata		1,990.989	53
XVII.	Fundusz rezerwowy:			
	Efekta funduszu rezerw. kursowo	2,996.183·80		
	Kupony bież. należne z 31. grudnia 1898	43.311·—		
	Rk. bież. fund. z gal. Kasą oszczędności	11·330·55		
	Wartość szacunkowa gmachu	1,055.238·05	4,106 063	40
			38,912.845	43

Stan bierny.

	Stan bierny	Walutą austr. zł r.	ct.
I.	Wkładki	33,250.555	19
II.	Rachunki bieżące gmin, zakładów i fundacji	129.696	82
III.	Rachunki bieżące funduszów w odrębnym zarządzie	67.398	62
IV.	Bank austro-węg.	1,050.000	—
V.	Saldo różnych należytości	130.045	—
VI.	Odsetki pobrane na rok 1899	179.088	40
VII.	Stan funduszu rezerwowego	4,106.063	40
		38,912.845	43

Rachunek zysków i strat za rok 1898.

Przychód.

	Przychód	Walutą austr. zł r.	ct.
	Odsetki pobrane w roku 1898:		
a)	od pożyczek na dobrach	275.750	16
	od pożyczek na realnościach	438.811	51
	od pożyczek gmin i powiatów	42.340	63
	od pożyczek towarzystw zaliczkowych	258	81
	od weksli	489·275	19
	od zaliczek na zastaw papierów wart.	166	65
	od rachunków bieżących	277.540	29
	od efektów funduszu obrotowego	7.000	—
	od lokacji w bankach	43 295	60
b)	Eskont od wkładek niewypowiedzianych	9.982	88
c)	Odsetki zaległe za r. 1898:		
	od pożyczek na dobrach	175.950	33
	od pożyczek na realnościach	90.335	—
	od pożyczek gmin i powiatów	3.772	82
	od zaliczek na zastaw papierów wart.	441	24
	od efektów funduszu obrotowego	1.400	—
	Strata za rok 1898	1,990.989	53
		3,857.211	14

Rozchód.

Rozchód	Walutą austr. zł r.	ct.
Odsetki wypłacone i dopisane za r 1898:		
od wkładek wypłacone	72.465	83
skapitalizowane wkładkom dopisane	1,225.116	68
rach. bież. fundacji gmin i innych	20.288	98
rach. bież. fund. w odrębnym zarządzie	8.212	35
Odsetki pobrane na rok 1899:		
od pożyczek na dobra	40.620	04
od pożyczek na realności	66 820	27
od pożyczek gmin i powiatów	12.443	57
od pożyczek towarzystw zaliczkowych	39	46
od zaliczek na zastaw papierów wart.	83	38
od weksli	59.081	68
Podatki:		
1. podatek zarobkowy od Zakładu	42.358	05
2. podatek za fundusz rezerwowy	28.762	75
3. podatek rentowy od wypłac. odsetek	1.087	—
4. podatek rentowy od dopisanych odsesek	18.376	76
5. podatek dochodowy od płac urzędn.	2.743	24
6. ekwiwalent od majątku ruchomego	2.745	70
7. należytości rządowe od zmian w etacie	1.113	75
8. grosz czynszowy	449	40
Koszta Zarządu:		
1. płace urzędników z dodatkami	73.297	27
2. lokal	5.240	—
3. księgi i druki	4.876	33
4. diurna i roboty pomocnicze	9.476	—
5. wydatki kancelaryjne	3.365	74
6. koszta utrzymania gmachu	5.636	91
Straty:		
Z rachunków bieżących odpisano	2,000.000	—
Straty na wekslach	151.610	—
Strata na różnicy kursu efektów funduszu obrotowego	600	—
	3,857.211	14

Antoni Pełczyński,
kasjer.

Eugeniusz Grużewski,
za buhaltera.

Komisja rewizyjna wydziału:

Dr. Jarosław Kułaczkowski. **Dr. Adolf Lilien.**
Eugeniusz Pierożyński.

Dyrekcja galicyjskiej Kasy oszczędności:

Antym Nikorowicz, dyrektor. **Dr. Jan Kanty Steczkowski,** dyrektor.
Dr. Edward Stroynowski, zastępca dyrektora.

(Przedruk nie będzie płacony). [8-1-1]

WESOŁY KURJEREK.



— a więc jesień!...
Sierpnia żona —
Trochę zżółkła, pomarszczona,
Ale ciepła jeszcze wdowa —
Do romansów też gotowa...
Choć to mówią: »babie lato« —
Jeśli słońce — dzięki za to,
Bo, choć w sercu »babie« skrzepło,
Ale jeszcze przy niej ciepło...
Jesień — jesień?
Bez uniesień
Posuwa się coraz dalej...
W starym piecu djabeł pali...
Ogień buchnie, to znów zgaśnie —
Aż i jesień drzwi zatrzaśnie...

Co kto ma?...

Ma więc róża zapach śliczny,
Bankier — kasy pełne złota,
Ma emeryt wypoczynek
I gorzałę ma... »hołota«.

Majster ma swoją majstrową,
Pijak ma swój »katzenjamer«,
Elegantka — kibić osy
Wziętą w kluby różnych klamer.

Ma sympatję »Pogotowie«,
Straż ogniowa swoją stację,
Ma dziennikarz czas na wszystko,
Aktor »tremę« i owację.

Filiżanka ma swój spodek,
Książka pewną liczbę kartek,
Jadłodajnie mają »flaki«,
Co niedziela i co czwartek.

Gdy więc każdy ma coś swego,
Trza uwagę dodać nową,
Że nasz Lwów też dzisiaj przecie
Ma sprawę wodociągową.

On ma jeszcze inne sprawy:
Teatr buduje się nowy —
»I chciałabym, i boję się«...
Rada miejska łamie głowy...

Lecz to kwestja rosochata...
Dla sceny poświęci kto się?...
Rada weźmie w zarząd teatr —
No i będzie miała... prosię. *Wesoły.*

Czytelnik szukający wytchnienia.

Zdjęcie momentalne.

Gdzież go znajdzie to wytchnienie, ten »przeciętny« (musi być przecięty — to darmo) czytelnik, jeżeli nie w dziennikach, które znowu są »przecięciem« pokarmu dla inteligencji — po karmu doraźnego dostarczając rodzaj umysłowej kiełbasy na widelcu...

A więc czytelnik zaczyna się posilać i zarazem szukać wytchnienia...

Bierze gazetę do ręki.

Sejm — stoi jak drut: »Postanowiono podwyższyć podatki...«

— Dobryś! — mało im jeszcze! machnąwszy ręką jedzie dalej:

»Na ostatniej sesji odrzucono wniosek o skróceniu lat służby nauczycielom.«

— Jeszcze lepiej!... — niech djabli wezmą nauczycieli!... Niech walą przez ziemię, jak przez czyściec. Tu wysłużą sobie lata, a otrzymają emeryturę w niebie...

Dajmy pokój sejmowi, a bierzmy się do polityki.

»Donoszą nam z pewnego źródła, że poseł Daszyński«...

— A niech go tam pioruny!.. — woła wytchnienia szukający czytelnik i odmachuje dział polityczny, a zabiera się do kochanej kroniki, co to można się z niej dowiedzieć o poczciwych ludziach i psach wściekłych...

»Wczoraj wieczorem — gwarzy reporterka — popełniono straszne i tajemnicze zabójstwo...«

— O reta!.. czytajmy niżej!

— Okropność!... a to łajdak! czytajmy dalej!...

»Śmiertelną walkę stoczyli wczoraj na noże«...

— Także wybrali sposób walki... Widocznie brak im sztuki mięsa...

Szukający wytchnienia czytelnik porzuca kronikę bieżącą i napotyka ponętny tytuł:

»Sztuki piękne, teatr, muzyka.«

— No! — tutaj nareszcie odetchnę sobie!...

»Ogólny ton obrazu p. Pędzelkiewicza, nie jest bynajmniej krzykliwy, owszem — nastrój molowy i minorowy, harmonizuje dobrze z samym pomysłem, nie ma więc rozdźwięku między założeniem, a wykonaniem«!...

Czytelnik przeciera czoło i rżnie dalej...

»Krajobraz letni p. Kolorczyńskiego, to prawdziwa symfonja barw. Wszystko tam gra i śpiewa pośród jasnych słońca promieni. Artysta w samym obrazie preszedł wszystkie gamy w tonach i półtonach i niezrównany jest w modelowaniu, oraz tworzeniu zgodnie brzmiących akordów między najsprzeczniejszymi kolorami. Kto tak maluje o tym można powiedzieć, że podsłuchał naturę. Obraz pana K., to wspaniałe preludjum przyrody«!...

— Hm... hm.. hm.., może lepiej coś z muzyki..

„W grze pana Cymbalskiego — pisze recenzent umiejący grać na wszystkich instrumentach, za mało jest światłocienia. Uderzenie jaskrawe, a siła wprost oślepiająca, chociaż zaprzeczyć nie można, że gra jego jest w ogólności jasna, za jasna nawet, pozbawiona tego lekkiego zamglenia, tak potrzebnego np. przy wykonywaniu dzieł Szopena, przyćmionych — jak wiadomo — szarą barwą tęsknoty.“

— A to ci maluje na drutach!.. Aha! teatr! No, tu będzie coś przecie interesującego!...

„Wczoraj uraczono nas dwoma grzybami w barszczu, bo dawano „premierę i do tego oryginalną. Tytuł jej: *Podziurawione dusze.* Autor kryjący się pod pseudonimem Skowronka, w pracy swojej zdradza ryk lwa, tyle tam siły dramatycznej obok miękkości pokrwawionego przez jastrzębia gołębia...“

— A to szelma jastrząb!... Mniejsza, zresztą z tem, skoro biedny gołąb żyje, a skowronek tak bestja sobie ryczy, jak lew — jedźmy do gry aktorów.

„Panna Galopińska przeszła sama siebie!...

— Jak ona to u djabła zrobiła!... „grała przecudownie — była prawdziwem cackiem z dziurką...“

— No tak!... bagatela!... cóż więcej potrzeba!.. Posłuchajmy jeszcze telegramów!...

Przed oczyma tańczą: „Zamach na adwokata“, »Skandal w parlamencie“, „Znowu defraudacja“, „Dreyfus“, „Esterhazy,“ „Padarawski się ożenił, tylko...“

Czytelnik chrapnął i znalazł wytchnienie...

Smyk.

Kuku!...



Pobiegło dziewczę w las —
On przyjdzie — jeszcze... czas.
Kukułka w dali kuka...
W serduszku puka i puka..
Tam jest bez jeźdźca koń
Ach Boże... cnoty broń!...

Lecz jego nie ma, nie!
Gdzież on zapodział się?
I „kuku!“ zawołała tam...
Chciałabym troszkę — sam na sam...
Bo choć mężczyzna wąż —
Może być z niego mąż.

Bank parcelacyjny we Lwowie.

Od lat kilkudziesięciu odczuwać się dawał brak instytucji pośredniczącej i wspierającej wymianę dóbr ziemskich, pomiędzy właścicielami większej własności, a włościanami, z powołania rolnikami, lecz pozbawionymi roli. Brak ten odczuwali także posiadacze wielkich majętności ziemskich, którzy bądź z powodu obdłużenia znacznego, bądź też z powodu zaszłej konieczności rozdziału swej majętności ziemskiej na pomniejsze fol warki, znaleźli się w potrzebie przeprowadzenia ogólnej, lub częściowej parcelacji swej majętności.

Od czasu zniesienia stosunków poddańczych, włościanin nasz musiał oglądać się na własne siły i na własny zmysł spekulacyjny, a w braku rozwiniętego u nas przemysłu, niemal cała ludność wiejska, zwrócić musiała swą uwagę wyłącznie prawie na rolę, jako na jedyne źródło utrzymania. Ta samodziel ność rolnicza chwilowo uszczęśliwiła naszą ludność; każdy włościanin czuł się wyłącznym panem posiadanego kawałka ziemi i wierzył w to, iż utworzy trwałą egzystencję dla swych potomków. Wiara ta jego zachwiała się jednak wkrótce pod wpływem ludności, dla której już nie wystarczał zagon ziemi, po przodkach odziedziczony. Nadmiar ludności roboczej, przy braku przemysłu w kraju, a tem samem, przy braku zbytu na pracę, przyspieszył zniesienie niepodzielności gruntów włościaskich. Odtąd rozpoczęła się gra ćwiartowania grzędy rustykalnej, a doprowadziła częstokroć do takich rozmiarów, że posiadacz kawałka ziemi, ów rolnik, któremu ziemia miała być źródłem całego utrzymania, stał się tylko chałupnikiem, bo kęs ziemi odziedziczonej, lub nabytej, wystarczał mu tylko na postawienie chaty. Cena grzędy rustykalnej poszła w górę, tak że nawet pracowitszy i zapobiegliwszy, z trudnością wielką mógł posiadłość swą powiększyć. Wreszcie, wzrost podatków i dodatków do podatków, stemple i należytości spadkowe, wydatki na śluby i pogrzeby zubożyły naszego chłopa do tego stopnia, iż niemożliwem się stało nabycie przez niego gruntu od sąsiada — on musiał szukać gruntu tańszego. Te same stosunki wywołały u posiadaczy większej własności znaczne obdłużenie, wśród którego zbawiennem się wydawało częściowe pozbycie gruntów, celem popłacenia przynajmniej uciążliwszych długów. Przeprowadzenie jednak tej częściowej parcelacji, natrafiało na znaczne trudności dla braku instytucji pośredniczej. Oddzielenie części gruntu z posiadłości większej, wymaga przyzwolenia wierzyciela, mającego na tej posiadłości zastaw przeważnie Banku, a częstokroć jeszcze i innych wierzycieli prywatnych. Wierzyciel zaś udzieli swego przyzwolenia dopiero po spłacie odpowiedniej części długu hipotecznego. Ponieważ zaś kupujący, w chwili wypłaty ceny kupna, chce mieć nabyty grunt wolnym od ciężarów hipotecznych, a przedtem obawia się składać cenę kupna do rąk obdłużonego sprzedawcy, przeto zachodzi kolosalna trudność w wymianie części gruntów niepodzielnych hipotecznie za gotówkę, dla braku pośrednika zaufania godnego. Trudności te są jeszcze większe, tam gdzie majętność ziemska obciążoną jest serwitutami, i ciężarami kościelnymi i cerkiewnymi — a ponadto pozostaje w sekwestrze.

Stosunki te stały się przyczyną ruiny licznych posiadaczy ziemskich, majątki celem publicznej licytacji pozbyte zostały za cenę częstokroć tak niską, iż właścicielowi zadłużonemu z jego znacznego majątku ziemskiego nie tylko nic nie pozostało, ale nawet długi hipoteczne w całości zaspokojone nie zostały, jakkolwiek w razie przeprowadzenia rozumnej częściowej parcelacji ich majątku, mógłby i właściciel uniknąć ruiny i wierzyciele mogliby utrzymać zupełne zaspokojenie, a wreszcie ludność wiejska mogłaby taniej przyjść do posiadania gruntu.

Nie ulega wątpliwości, że takie stosunki ekonomiczne i poruszone wyżej trudności, znacznie przyczyniły się do tłumnej, a ślepej emigracji naszego ludu do krajów dalekich, im bliżej nieznanych, tudzież do znacznych szkód, jakie nasze społeczeństwo poniosło także w skutek owej emigracji i w skutek ruiny posiadaczy dóbr ziemskich.

Instynkt samozachowawczy wywołał w ostatnich kilkunastu latach nieliczne próby powstawania spółek mających na celu parcelację, tudzież nieliczne wypadki przeprowadzonej parcelacji na własną rękę przez kapitalistów, upatrujących w parcelacji znakomity dla siebie interes. Pierwsze po krótkich oznakach życia zamarły, bądź w skutek nieumiejętnego kierownictwa, bądź w skutek niesumienności, bądź wreszcie dla niedostatecznego kapitału. Tak zwane dzikie parcelacje, przyniosły niektórym spekulantom bardzo piękne zyski, o ile zaś prowadzone były nieumiejętnie jak np. przez samych kolonistów mazurów, sprowadziły zamęt w tosunkach posiadania i własności tak wielki, że mimo upływu lat kilkunastu, stosunki te dotąd nie są uregulowane. We wszystkich tych wypadkach koloniści ponieśli szkodę majątkową znaczną, nadzieja nabycia gruntu tanio, zawiodła ich, zapłacili zań nadspodziewanie drogo, ulegli wyzyskowi, jakkolwiek powinni takowego uniknąć, gdyby kierownictwo parcelacji i całe sfinansowanie interesu poruczyli ludziom sumiennym. choćby dobrze płatnym.

Do nielicznych bardzo należą te parcelacje, w których zadowoleni są tak koloniści, jak i oddający grunta pod parcelację.

Mimo takich przykładów, a są pomiędzy nimi odstraszające, ludność rolnicza garnie się ustawicznie tam, gdzie parcelacja rozpoczęta, lub zamierzona, bo zmusza ją do tego twarda konieczność.

W samą tedy porę powstaje instytytucja publiczna: Bank parcelacyjny, do życia. Powitają ją z radości tak rolnicy pozbawieni roli, jak i obszarnicy, których konieczność zmusza do obkrojenia swej własności; powita ją wreszcie całe nasze społeczeństwo przychylnie, gdyż jakkolwiek Bank parcelacyjny kwestji agrarnej jeszcze nie rozwiązuje, to w każdym razie, do rozwiązania jej się przyczynia. Za parcelacją rozumnie prowadzoną i ekonomicznie kierowaną oswiadczyć się musimy także z tego względu, że ona ożywczo oddziałać musi na nasze rolnictwo, a czasowo przynajmniej usunie powyżej poruszone niedogodności ekonomiczne w kraju. Parcelacja z czasem wytworzy oprócz mniejszej, także średnią własność ziemską, a w ślad za tem rozpowszechni gospodarkę bardziej intensywną.

Przenosząc rolników z zachodniej części kraju na wschód, parcelacja wprowadzi tamże ważny czynnik cywilizacyjny, dalej trzeźwość i pracowitość, oraz zaufanie w wydatność pracy rolnika. Garstka kolonistów mazurów nie wynarodowi chłopa ruskiego, lecz go nauczy pracowitości i oszczędności, odzwyczai od nałogowego pijaństwa i złamie jego zgubną zasadę »naj bude, jak buwało«. Przykłady praktyczne, którym chłop ruski bezpośrednio się przypatrzy, więcej korzyści przyniosą, jak wszelkie wykłady ustne, przy których zwykle on zasypia. Dziś już widzimy tam, gdzie parcelacja się udała, że przymieszka mazurów, podniosła moralnie i ekonomicznie chłopa ruskiego.

Bank parcelacyjny staje do walki ze spekulantami, którzy przy dotychczasowym sposobie parcelowania, ciągnęli bardzo poważne zyski tak z kolonistów, jak i z parcelujących. Niewątpliwem jest, że spieniężenie ziemi w drodze parcelacji należy do najkorzystniejszych, a wszelkie te korzyści zabierał dotąd ów spekulant, który pieniędzmi i stosunkami parculację ułatwił. On to właścicielowi parcelującemu przeznaczał z parcelacji tylko taką sumę, jaka dlań była konieczną do załatwienia wierzycieli i uniknięcia licytacji, natomiast chłopowi koloniście oznaczał cenę od morga niewiele niższą od tej, jaka była praktykowaną w danej miejscowości od gruntów rustykalnych, trudnych w ogóle do nabycia, a prócz tego wkładał na niego koszta kontraktowe, intabulacyjne i inne; całą zaś różnicę zapewniał sobie, a różnica ta była wcale poważną, bo dochodziła częstokroć do kilku tysięcy złotych na jednym rozparcelowanym mająteczku.

W walce tej ze spekulantami, Bank parcelacyjny wyjść musi zwycięzko, albowiem zadowoli się tylko odpowiednią prowizją za podjętą pracę, tudzież procentem od zaangażowanego kapitału, nie będzie zaś pobierać wynagrodzenia za swój stosunek do innych instytucyj kredytowych, tudzież za zaufanie, jakiem go te instytucje darzyć będą, a które to wartości nieocenne, przeważający zysk przyniosły spekulantom parcelacyjnym.

Największą zaś przewagę nad spekulantami, zapewnia Bankowi parcelacyjnemu Bank krajowy przez swoje poparcie. Wiadomo powszechnie, iż do rzadkości należą koloniści, którzy wnoszą całą cenę kupna, przeważnie są tacy, którzy wnoszą najwyżej połowę tejże ceny, zatem drugą połowę ceny kupna uzyskać muszą z pożyczek hipotecznych, których w Galicji udziela wyłącznie tylko Bank krajowy. Otóż Bank krajowy, pod którego opieką powstaje Bank parcelacyjny i który w tej nowej instytucji angażuje się z udziałem stutysięcznym, niewątpliwie odmówi pożyczki hipotecznej parcelacjom dzikim i przez to samo zniweczy prywatnych spekulantów parcelacyjnych. Cele Banku parcelacyjnego, jako towarzystwa zarobkowo-gospodarczego, wynikają już z jego istoty, z uznaniem jednak podnieść należy, że Bank ten pracę i całą swą działalność przeznaczył w statucie wyłącznie tylko dla swych członków. Zaletą poważną tego Banku jest, iż nie będzie on nigdy rozporządzał nadmiarem pieniędzy, bo majątek jego składać się będzie przeważnie z udziałów członków, a udział minimalny wynosi 50. koron. Ponieważ niewielu znajdzie się takich członków, którzy udziały swe znacznie po nad statutowe minimum powiększą, przeto nie ma obawy, by w Banku nagromadziły się nadmierne zasoby pieniężne. A gdyby nawet Bank ten posiadał znaczniejsze zasoby pieniężne, to starannie unikać powinien ułatwienia właścicielom pozbywania się

dóbr ziemskich, taka bowiem taktyka musiałaby Bankowi zgotować nieochybną ruinę. Bank posiadłby znaczne obszary ziemi, których doraźnie rozparcelować by nie zdołał; musiałby nimi we własnym zarządzie administrować, a w ślad za tem, jeśli nie straty ponosić, to w każdym razie zadawalać się dochodami bardzo małymi, któreby członków zadowolić nie mogły. Bank zatem zostałby unieruchomiony, a prócz tego wyrządziłby społecznemu porządkowi znaczną szkodę przez pozbawienie powiatów, tak zwanych, obszarników. Już dziś, na samą wzmiankę o Banku parcelacyjnym, pojawiają się utyskiwania na przewidzianą niedostateczność funduszów tego Banku. Utyskiwania te uważamy za nieuzasadnione, w każdym razie zdradzają one chęć tłumnego pozbywania się dóbr ziemskich, która wprawdzie wytłómaczoną jest obecnymi stosunkami agrarnymi, lecz wydaje się być zgubną dla naszego społeczeństw. Stosunki poznańskie nie mogą tworzyć nawet analogji dla naszych stosunków; tam Bank ziemski ma na celu patrjotyczną ochronę ziemi polskiej przed łakomstwem germańskiem, podczas, gdy u nas idzie tylko o uporządkowanie stosunków posiadania ziemi, w miarę zachodzących potrzeb naturalnych. W Rosji panujący dotąd prąd wywłaszczania szlachty tj. obszarników i tworzenia osad włościańskich nie okazał się praktycznym, skoro decydujące tamże czynniki dążą obecnie do stworzenia tych obszarników, a więc przywrócenia pierwotnego stanu rzeczy.

Skupienie zresztą w rękach Banku znaczniejszych obszarów ziemskich, musiałoby doprowadzić do nienaturalnego obrotu rzeczy; nie rolnicy poszukiwaliby za gruntem, lecz Bank musiałby urządzić gonitwę za odbiorcami gruntów. Pod wpływem tego, cena ziemi by się obniżyła niestosunkowo, a ponadto Bank, nie mając zasobnych nabywców, odstępowałby ziemię bez pieniędzy, a więc ziemię obciążoną do połowy wartości pożyczką Banku krajowego, a ponadto pożyczką własną. Że w takim składzie rzeczy, przy obecnej rencie gruntowej, kolonista nie podołałby obowiązkom zaciągniętym, to nie może ulegać wątpliwości, a w ślad za tem ruina Banku byłaby nieunikniona.

Najważniejszem tedy zadaniem zarządu Banku będzie czuwanie, aby Bank nabywał grunta, do parcelacji, jedynie tylko w miarę naturalnego popytu za gruntami i tylko tam zakupna obszarów większych czynił, gdzie właściciel przy swej własności już dalej utrzymać się nie zdoła, pod warunkiem, że zakupić się mające obszary ziemi nadają się do parcelacji. Główną zaś swą działalność winien Bank skierować do pośredniczenia pomiędzy parcelującym właścicielem, a kolonistami i pośrednio spełniać swą misję z korzyścią własną, bez angażowania kapitału na dłuższy przeciąg czasu.

Tylko takiej działalności Banku, uwzględniającej naturalne potrzeby naszej ludności, życzyć możemy powodzenia i wydatnych dla społeczeństwa naszego skutków.

Dr. W. Kulikowski.

Echa zamiejscowe.

Z Krakowa.

Przebieg czwartego zjazdu techników polskich w Krakowie, był świetny i zjazd ten do najbardziej udałych zaliczyć należy. Brało w nim udział przeszło czterysta osób, a między nimi hr. Władysław Zamoyski, który nietylko brał żywy udział na zgromadzeniach, ale nadto zaprosił grono uczestników do zwiedzenia trasy kolejowej: Chabówka-Zakopane. — Z zaproszenia tego skorzystano. Przybyłych ze wszystkich części dawnej Rzeczypospolitej, podejmował Kraków z staropolską i serdeczną gościnnością. Zgromadzenia, uczty, wycieczki i rauty, urządzone dla przybyłych gości, były okazałe i chyba to zauważyć wypada, że na ucztę do sali hotelu Saskiego nie zaproszono dziennikarzy. Przypuszczać należy, że stało się to nie ze względu na ich żołądki, ale z powodu przeoczenia! Podczas wycieczki do Bielan, w celu zwiedzenia źródeł wodociągów, uczestnicy zjazdu próbowali wody, którą mają być uszczęśliwieni mieszkańcy Krakowa. Zdania co do smaku wody były podzielone: jedni utrzymywali, że woda ma smak pomarańczowy, drudzy, że ma smak żelaza, a znaleźli się i tacy, którzy twierdzili, że ta woda smakuje tak samo, jak woda z Wisły?! Gdyby to ostatnie było prawdą, smutne by czekały nas losy, bo wiślana woda do przysmaków nie należy. Przyszłość wkrótce okaże, kto miał słuszność i czy p. Rotterowi należy się uznanie, lub nagana, bo niebawem pić zaczniemy wodę z wodociągów, z czego się bardzo cieszymy. Chociaż p. Friedlein, który w zeszłym tygodniu składał ponowną przysięgę w ręce delegata Namiestnictwa, trochę naszą uciechę zmniejszył, bo przy zaprzysiężeniu wygłosił mowę, w której zaznaczył, że po zaprowadzeniu wodociągów, czekają miasto bardzo liczne wydatki, albowiem wykończenie wodociągów spowoduje nie tylko potrzebę wykończenia sieci kanałów, bruków i ścieków, ale nadto wymagać będzie zwiększenia kosztów na codzienne czyszczenie miasta; bo słusznie mieszkańcy będą się domagać, aby się ziściły oddawna obiecywane im z wodociągów korzyści. Czyli innemi słowy, Kraków od swego istnienia dopiero po zaprowadzeniu wodociągów gruntownie zostanie umyty i wyprany. Te nowe wydatki grubo zaciężą w budżecie miasta i już obecnie nie jeden obywatel miasta, słysząc słowa p. Friedleina, chwyta się za kieszeń, aby się upewnić, czy wytrzyma atak na nią skierowany. Trudna jednak rada, bo jeżeli chcemy mieć dobrą wodę i pragniemy, aby stan zdrowotny miasta się polepszył, bez ofiar materjalnych tego osiągnąć nie można.

P. Friedleinowi, pomimo, że nas tak brzydko straszy, życzymy najlepszego powodzenia, a przedewszystkiem, aby w czasie jego urzędowania nie pojawił się znowu jakiś urzędnik miejski, któryby swoją kieszeń zasilał z pieniędzy kasy miejskiej, bo to nietylko jest rzeczą wielce bolesną, ale nadto Kraków i cała Galicja już na polu defraudacyj tak wielkie położyli zasługi, że wstrzymanie się od dalszej działalności w tym kierunku, jest doprawdy bardzo pożądane.

Prócz zjazdu techników, mieliśmy słowiańską wystawę illustrowanych kart pocztowych, która cieszyła się wielkiem powodzeniem i dawała o tem dosadne świadectwo, że jest u nas jeszcze dużo takich osobników, którzy trudnią się skwapliwie zbieraniem kart pocztowych. Ta ze wszech miar dla społeczeństwa i ludzkości chybiona działalność tych osobników, nie pozostała bez nagrody, bo otrzymali za nią medale i dyplomy honorowe, co naturalnie im wielką sprawiło radość, a nikomu przykrości. Wobec tego, że dziś już prawie co drugi człowiek jest szczęśliwym posiadaczem jakiegoś medalu, jeżeli tak dalej pójdzie, będzie można wkrótce podzielić ludzkość na dwie połowy: na tych, którzy mają już medale i na tych, którzy medale otrzymać pragną. Gdyby odemnie zależało, to bym zaprowadził, by każdy noworodek, w nagrodę za to, że się raczył urodzić, otrzymał medal, coby naturalnie chęci przyjścia na świat znacznie wzmogło. Węgrzy mogliby w ten sposób łatwo uchronić się od wymarcia.

W teatrze miejskim, ze zmianą dyrekcji, zmieniło się też i powodzenie teatru. Publiczność tłumnie do teatru uczęszcza i p. Kotarbiński z uznania dla jego działalności może być zupełnie zadowolony. Skład artystów jest prawie ten sam, bo oprócz p. Kamińskiego nikt nie ubył, a w miejsce p. Śliwickiego, który jeszcze za czsów p. Pawlikowskiego przeniósł się do Warszawy, dyrekcja zaangażowała wielce utalentowanego amanta p. Tarasiewicza. Reżyserja spoczywa zawsze w rękach utalentowanego artysty p. Solskiego.

P. Kotarbiński wie dobrze, do czego jako kierownik sceny jest obowiązany. Repertuar teatru znalazł dotychczas bardzo dobre powodzenie, i tak: »Złota Czaszka«, jak i »Matka Polka« publiczności się podobały. Sztuki ze starego repertoaru, jak «Kościuszko« — »Tamten« — »Zaczarowane koło« nie przestały robić kasę. »Zaza« za to, pomimo świetnej gry artystów i doskonałego przygotowania, nie przypadła publiczności do gustu — a to ze względu na treść, jak i na to, że rola »Zazy« nie leży w zakresie talentu p. Siemaszkowej. Wkrótce ujrzymy na scenie inne nowości, jak: »Anonimy« — »Frazesowicza« a nawet »Faust« ma ujrzeć światło sceniczne z powodu 150 rocznicy urodzin Wolfganga Goethego. O dalszych nowościach zdać sprawy nie omieszkam.

Dawna »Kontumacja« krakowska na Prądniku białym, zamieniona na targ bydła rogatego, przez Tow. hodowców i handlarzy tegoż inwentarza, od czerwca b. r. ożywiła się na nowo i obecnie co czwartek, odbywa się ruchliwy targ na woły, zakupywane przeważnie przez rzeźników miejscowych, a poczęści także przez rzeźników z Pragi i Morawy. Towar bywa zawsze doszczętnie wykupiony i tak producenci, jak i nabywcy, mają tu wszelkie udogodnienia. Targowisko urządzone jest z prawdziwym komfortem, szczególniej dla postoju i pewnie w całej Austrji nigdzie woły, ani świnie, nie spotkały się z taką wygodą, jak na Prądniku białym.

Omal, że nie mieliśmy drugiej powodzi, bo groźba była wielka, ale dzięki Bogu skończyło się tylko wylewem koryta Rudawy. Rzeczka ta zrządziła trochę szkody w sianokosach w Mydlnikach, Zabierzowie, Rudawie i Krzeszowicach, a w Krakowie zalała Błonia, park dra Jordana i tor wyścigowy.

Smok.

Z Ciężkowic. Korespondent nasz pisze: W Przybyłowie, majętności p. Baltazara Dzięciołowskiego, przed paru dniami uderzył piorun w topolę, stojącą przy bramie wjazdowej do dziedzińca dworskiego, w chwili, gdy przez tę bramę przyjeżdzał wóz naładowany kilkoma kopami niemłóconego owsa. Grom zapalił owies na furze, a obsługujących ją parobków powalił na ziemię. Konie, strwożone hukiem i ogniem, przelękły się i pędem z gorejącą stertą wpadły w podwórze, niosąc pożogę w budynki dworskie. Była to chwila krytyczna. Za pół minuty konie wniosłyby ogień, do pełnych zboża stodół i stajen.

Przytomność i odwaga samego właściciela uratowały wszystko. Nieustraszony, jak lew, rzucił się naprzód, a biegnąc pospołu z rozbieganymi końmi, zdołał nareszcie pochwycić za lejce, skierować je w pole, przewrócić palący się wóz i choć zboże spaliło się na nim do szczętu — uratować od pożogi budynki dworskie i gospodarcze. Czyn godny uznania, nietylko od Towarzystwa Ubezpieczeń, ale od wszystkich.

Z Poznania donoszą nam:

Rząd pruski, rozporządzeniem z dnia 5-go września, wydalił z obrębu Prus redaktora i pełnomocnika wydawnictwa „Pracy“: Dr. Kazimiera Rakowskiego.

P. Kazimierz Rakowski nie dał postępowaniem swem wobec władz żadnego powodu do takich repressalji, a dowodem czego fakt, iż od czasu objęcia przez niego kierownictwa „Pracy“, aż do chwili ustąpienia z zajmowonego stanowiska, prokuratorja nie była w możności wytoczenia mu żadnego procesu.

Wydalonemu nie pozostawiono dość czasu na uregulowanie swych interesów, jakoteż interesów wydawnictwa, przez co wyrządzono przedsiębiorstwu wielką krzywdę materjalną.

Jedynie tylko sam fakt, iż Dr. Kazimierz Rakowski, nie mając poddaństwa pruskiego, osiedlił się tu i objął kierownictwo pisma polskiego, wystarczył za powód wydalenia. Jest to więc nowe łotrostwo hakatystów pruskich, które zapisujemy na wstyd i hańbę niemieckiej „kultury“, będącej urągowiskiem prawdziwej cywilizacji.

Z *Zaleszczyk*. W tym czasie zostanie otwarty I. rok: kurs przygotowawczy męzkiego Seminarjum nauczycielskiego w Zaleszczykach, którego potrzebę założenia dowodzi najwymowniej fakt, że do przyjęcia zgłosiło się przeszło 200 uczni i to nietylko z Podola i z Pokucia, lecz nawet i zdalszych powiatów.

Aż do czasu wykończenia budować się mającego własnego gmachu, na placu 3. maja, darowanym na ten cel przez tutejszą gminę, umieszczono seminarjum w wynajętej realności barona Brunickiego, w której jednakże zaledwie 60 uczni znajdzie pamieszczenie — i do tej liczby musiano ilość przyjętych uczni ograniczyć.

Dnia 1. październtka b. r. nastąpi otwarcie kolei żelaźnej ztąd na Horodenkę, Gwoździec do Kołomyi.

Jednopiętrowy okazały budynek kraj. szkoły sadowniczo-ogrodniej, na przeszło 20 morgowym gruncie, między kraj. szpitalem i dworcem kolei żelaznej, stanie wkrótce pod dachem.

Szkoła ta, wpłynie nadzwyczaj korzystnie na kulturę sadowniczą, której tutejszy klimat pod każdym względem sprzyja.

Jest przeto nadzieja, że przez powyższe czynniki, miasto nasze na kresach podniesiesie się znacznie, zaś bezpośrednie połączenie kolej żelazną Podola z Pokuciem, wpłynie na ożywienie się, znajdującego się w stagnacji handl przewozowogo. Brak nam tylko zakładów przemysłowych i rękodzielniczych z których z czasów Rzeczypospolitej Zaleszczyki słynęły a których założenie, w obec okalającego nasz miasto Dniestru, nie przedstawia trudności Jedyną zaporą stanowią względy finansowe i brak wytrwałych przedsiębiorstw. *X.*

Z Uhnowa. W cichej i zazwyczaj nudnej naszej mieścinie — mieliśmy kilka godzin wesołych i przyjemnych. Żegnaliśmy, właśnie, p. Nowakowskiego, naczelnika tutejszej stacji kolejowej, opuszczającego Uhnów. Wieczorek pożegnalny był wielce ożywiony, a p. Nowakowski miał sposobność przekonać się, jak serdeczne pozostawi wspomnienie w Uhnowie dla swych zalet charakteru, prawego i szlachetnego postępowania, którem się na każdym kroku odznaczał. Na tym wieczorku dla gimnazjum polskiego w Cieszynie zebrano 3 złr. 20 ct., które p. Antoni Kolbuszewski do Redakcji *Tygodnika Narodowego* odesłał.

Gazetka teatralno-artystyczna i literacka.

Teatr. Nie wiem, ile p. Paderewski wygrał autorów dramatycznych na fortepjanie — ale pierwszy, którego lwowska scena przedstawiła nam ze swemi *Karykaturami*, o tyle chyba przynosi z sobą okoliczności łagodzące, że wyszedł z konkursu „młodych“, od których się nie wiele wymaga, choć dużo można się spodziewać. Czy p. Kisielewski robi nadzieje ?... Robić może, ale czy je zrobi — to także pytanie... Jest w tych *Karykaturach* coś błąkającego się z temperamentu pisarskiego, wirują odłamki talentu autorskiego, trzaśnie coś w tem jeszcze trochę światła i ciepła — ale są rzeczy tak banalne, postacie tak spowszedniałe, niektóre wprost kopjowane — a przytem sytuacje, mimo silenia się na ruch i oryginalność, mechanicznie tylko bujające i właśnie nie oryginalne, że doprawdy dziwić się przychodzi nad tem, iż w młodym autorze tak dużo składało się cudzego na *ja* autorskie p. Kisielewskiego.

Już sam konkurs dramatyczny p. Paderewskiego oparty na metrykach urodzenia, jest oryginalny, po co autorowie mają być jeszcze oryginalni ?... Komiczna też jest ta kapralska superewizja autorów.. Doczekamy się może dla studentów czwartej klasy gimnazjalnej konkursu na... operetkę.

Jedna tylko postać w *Karykaturach* jest własnością p. Kisielewskiego: Zośka. Ona jedyna ocala honor autorski. Gdyby nie Zośka, nad *Karykaturami* możnaby zrobić krzyżyk... Ale też ta Zośka dostała się w ręce artystyczne p. Czaplińskiej, która z niej zrobiła prześliczną kreację aktorską. Wątpię, aby kto mógł lepiej tę rolę zagrać.

Bohater *Karykatur*: Antoś — to z przeproszeniem deklamujący cymbał, który sam nie wie czego chce. Na takich najlepszy sposób w sztukach dekadenckich: niech czemprędzej umierają na galopujące suchoty. Szkoda, że p. Kisielewski nie wyprawił go tą »szosą« na tamten świat...

Na tym „cymbale“ grał p. Wostrowski z pewnem skupieniem dramatycznem, ale gdyby się nawet zwinął w kłębek, z cymbała autorskiego zawsze tylko brzmiałby dźwięk pusty...

Ta cała paczka Borkowskich, ich córek, matka Zośki, sąsiadka Walentowa — postacie niby charakterystyczne, odświeżone przez autora na cudzych modelach — przerażające szablony! Wszystko to się widziało Bóg wie, ile razy, a czasem tylko frazes aktualny z bieżącej doby, przypomina, że to nie czasy *Radców pana radcy* Bałuckiego... Zresztą, to epizody w grze aktorskiej wypukło wybijające się, bo są grane z całym aplombem artystycznym i inteligencją przez pp. Gostyńską, Cichocką, Kwiecińską, Ogińską, Modzelewską, Jaworskiego i Neumana — ale szablonowe epizody.

Migdała wydłubał sobie bez ceremonji p. Kisielewski z *Królowej* p. Krumłowskiego. Grał go przepysznie p. Nowacki.

Ignasia gimnazjalistę przyprowadził autor *Karykatur* za uszy z komedji *Bez szczęścia* Germana i tylko go trochę oskrobał. Grała go z temperamentem p. Jankowska. Sceny gromadne cyganerji artystycznej i literackiej przypominają jaskrawo *Ułudę* Szukiewicza. Sceny te barwnie i z fantazją grają u nas: pp. Feldman, Hierowski, Walewski, Wysocki, Kliszewski, Antoniewski i Jasielski. Epizody te luźne, lub zaluźne, w niczem nie pracują dla sztuki, ani dla sytuacyj.

Budowa sztuki wadliwa i kulejąca — ale to nic, bo takie rzeczy zdobywa praktyka i rutyna autorska. Tego dobrego można się nauczyć. Sztuka miejscami jest strasznie nudna i wlokąca się, jak skrzypiący wóz z nienasmarowanemi osiami... Tło ponure, a w niem promyki talentu tak wąziutkie i migotliwe, że mniejsza, iż w *Karykaturach* nie uśmiecha się życie — ale tam i łez prawdziwych, serdecznych — niema wcale... *Iks Ypsylon.*

Niedoścignieni są francuzi w farsowaniu życia. Nie chcą go robić złem, lecz śmiesznem. To samo jest i w farsie 4-aktowej Henequin'a i Valabregu'a: *Miejsca kobietom!* Żeby się kto założył, że śmiać się nie będzie — musi się śmiać. *Miejsca kobietom* ma jeszcze tę zaletę, że stanowić ciętą satyrę na wybujałości kobiecej emancypacji, której objaw w dzisiejszych stosunkach zapewne, że jest inny, ale jest. Niektóre sytuacje, jak np. badanie lekarza-panny stanu zdrowia narzeczonego jej siostry przed ślubem — jest i oryginalne, i niezmiernie komiczne. Zakończenie farsy banalne, za banalne — ale satyra zwyciężyła, bo wszystko wraca do rodzinnego porządku.

Sztukę taką trzeba grać elektrycznie. Tak też ją grają nasi artyści. Nie przesadzamy: publiczność zanosiła się od śmiechu — zabawa szeroka, od brzegu do brzegu. Śmiech miesza się z oklaskami i powstaje formalna burza wesołości. Pp. Gostyńska, Czaplińska, Feldman, Walewski, Nowacki, Kliszewski, Nałęcz, Ogińska, Jankowska, Kwiatkiewicz, Różańska, Modzelewska — wszystko to gra z prawdziwą werwą, komizmem, nie wyjmując drobnych rolek i życie ze sceny bucha formalnie. Sztuka też doskonale wyreżyserowana i ładnie wystawiona. *Be.*

Operetka nasza rozpoczęła już swoją jesienną kampanję. Oprócz wznowionych operetek niezadługo ukażą się na scenie nowości, jak: *Lalka*, która za granicą kolosalne ma powodzenie, *Dyplomata* i inne.

Lwowska operetka miała olbrzymie powodzenie w Warszawie. W ciągu ostatnich trzech tygodni wszystkie przedstawienia były przepełnione. Ogromne powodzenie miały operetki: *Noc w Wenecyi*, *Orfeusz w piekle*, *Mascota* i *Mikado*, z nich pierwsza była przedstawiona 30 razy. Personal operetki lwowskiej zaimponował, po prostu Warszawie. Orkiestrę, wykonanie, chóry, wystawę — warszawskie pisma za wzór stawiają.

W dziedzinie dramatu zapowiadają nam ruch niezwykły. Po wystawieniu *Karykatur* i *Miejsca kobietom*, nastąpią: *Koledzy szkolni* Fuldy, *Johanes* Sudermana, *Syberja* Zapolskiej, *Zaczarowane Koło* Rydla, *Ścigana* Jaroszyńskiego, *Wielkie Figury* Walewskiego. Oprócz tego grane będą utwory: Zalewskiego, Bałuckiego, Krzywdzica, Lubowskiego, Glińskiego i w. innych. — Ze wznowień dzieł klasycznych pójdą: *Faust* Getego, *Wesele Figara*, Baumerchego, *Juljusz Cezar* Szekspira, *Clavigo* Szyllera. — Personal wzmocniony pierwszorzędnemi siłami teatru łodzkiego: p. Sosnowski (kochanek bohater), panna Ordon naiwna liryczna. P. Zejdowski komik charakterystyczny z teatrów warszawskich, p. Knake — Zawadzki i p. Zapolska z Krakowa.

W Dzwonie zatopionym z nowo zaangażowanych sił przedstawili się: panna Ordon w roli Rusałki i p. Sosnowski, jako mistrz Henryk. Pierwsza przynosi przedewszystkiem na scenę: młodość, wdzięk i bardzo ujmującą powierzchowność. Modulacja głosu piękna, w którym drga szczery akcent liryczny z pewnem odczuciem dramatycznem. W grze, obok sympatycznej swobody, czuć urok poezji i miękkość krępowane nieco nieśmiałością i niedostatkiem scenicznej rutyny, której się nabywa przez wprawę i doświadczenie. Panna Ordon posiada wszystkie warunki na bohaterkę liryczną.

P. Sosnowski jest artystą o talencie skrystalizowanym. Jest to amant bohaterski szerszego stylu. Jego mistrz Henryk posiada cechy oryginalnej twórczości. W grze ujawnia się dużo zapału i inteligencji.

O pierwszej i o drugim, będziemy mieli sposobność, przy innych rolach, nieraz obszerniej pomówić.

= Londyn jest jedyną europejską stolicą, która nie posiada stałej opery. Żaden stały teatr o poważnym repertuarze muzycznym nie mógł się dotąd tam utrzymać. Kilka teatrów wystawia ciągle i przez rok cały operetki i błazeństwa muzyczne, ale wielką operę ma Londyn tylko przez niecałe trzy miesiące sezonu w Covent-Garden. Od śmierci słynnego dyrektora tej sceny: Augusta Harrisa, wziął na siebie kierunek artystyczny syndykat, na którego czele stoi: hr. Grey i p. Higgius. Impresarjem jest dobrze znany i doświadczony p. Maurycy Grau. Tegoroczna kampanja pokryła znowu znaczne wydatki, a wydatki ma ogromne, bądź na odnowienie sali, bądź też na zaprowadzenie elektryczności, bądź wreszcie na wspaniałą trupę śpiewaków, która pochłania sumy bojońskie. Publiczność angielska żąda bowiem gwiazd pierwszorzędnych, a nie idzie jej o całość obsadzoną sumiennymi i utalentowanymi artystami. Dyrekcja wie, że np. nieobecność Reszków znaczy poważną stratę dochodu. Zataiła też skrupulatnie w tym roku, że artyści nasi zgodzili się wziąść udział tylko w ograniczonej liczbie przedstawień.

Repertuar tegoroczny rzuca ciekawe światło na muzykalność publiczności Londynu. Oprócz „Łucji“ i „Normy“, oraz nowej opery p. de Lara: „Messaliny“, której znawcy nie chcą brać na serjo i oskarżają o rozmaitsze reminiscencje, w tegorocznym repertuarze w Covent-Garden prym trzyma ośm przedstawień „Fausta“, a następnie siedem „Lohengrina“. „Romeo i Julia“, „Carmen“ i „Tannhäuser“ miały po pięć“; „Tristan“, „Walkirje“, „Aida“, „Pajace“, były grane po cztery, a „Cavalleria Rusticana“, „Don Giovani“ i „Messalina„ po trzy razy.

= Dzienniki włoskie podają bliższe szczegóły o nowem oratorjum ks. Perosiego-

Nowe dzieło, p. t.: „Narodziny Chrystusa“, składa się z dwóch części. Pierwsza „Zwiastowanie Najświętszej Panny“, kończy się wspaniałym chórem „Magnificat“; druga zaś część „Narodziny Zbawiciela“ hymnem ambrozjańskim. Oratorjum rozpoczyna się prologiem do słów: „Evangelicam historiam domini nostri Jesu Christi cantemus, cui sit sempiterna laus in soeculorum soecula“. (Śpiewajmy ewangieliczną historję naszego Pana Jezusa Chrystusa na odwieczną cześć Jego i chwałę).

= Niejednokrotnie zapowiadana opera Paderewskiego, nad którą od kilku lat ma pracować stanowczo wystawiona będzie w nadwornym teatrze drezdeńskim w miesiącu październiku, lub listopadzie najdalej. W ciągu przeszłej zimy, dzieło Paderewskiego zamierzają wystawić i sceny amerykańskie.

= Słynna niegdyś śpiewaczka Adelina Patti, obecnie baronowa Cederstöm, zawarła umowę, na nadchodzący sezon zimowy z Filharmonją berlińską, gdzie śpiewać będzie w dwóch koncertach, pobierając honorarjum w ilości 30.000 marek.

= Jakób Puccini, autor, oper: „Manon Lescaut“ i „Cyganerja“, wykończył świeżo nowe dzieło, do którego dostarczył mu tekstu znany dramat Sardou: „La Tosca“. Nowość tę wystawić ma w zimie medjolański teatr La Scala.

= Profesor śpiewu w instytucie muzycznym, w Warszawie p. Oktawjusz Nouvelli, wydał świeżo broszurkę p. t. „Oddychanie i wydobywanie dźwięku głosowego“. Książeczka, zawiera pewną ilość dobrych uwag i zdrowych rad, z praktycznością

człowieka doświadczonego, udzielonych. Książka drukowana jest w języku francuskim.

— *Z Paryża.* Od dłuższego czasu, wystawiony utwór Masseneta: *Cendrillon* („Kopciuszek") z panną Guirandon w partji tytułowej, wywołuje duże artystyczne wrażenie w Paryżu. Sztukę wystawiają w operze komicznej.

Po wyjściu z teatru, dzwoni jeszcze w uchu łagodnym echem miękka, słodka, to znów namiętnie miłosna muzyka Masseneta, w oczach migocze mnóstwo wytwornie, bogato ubranych figur, kręcących się w elastycznych, pełnych elegancji ruchach, na tle kapiących od złota ścian pałaców, jak z tysiąca i jednej nocy, to znów śród uroczej morskiej zaciszy. To znów przypomni się pieszczony tryl p. Guirandon, lub pełen niewypowiedzianego powabu ruch pani Brejean-Gravère. Jaki uciesny jest ten poczciwy Pandolph-Fugère!

— Odbywały się dotychczas przedstawienia ludowe przeważnie pod gołem niebem, w szczególności pasyjne, jak w Oberammergau i w Horzycach; obecnie zaś, pod miastem Béziers, we Francji południowej, wystawiono poważne dzieło z muzyką Saint Saensa, do słów Galletta, p. t.: „Déjanire". Na scenie, zbudowanej na piaskach olbrzymiej płaszczyzny. 15.000 widzów było obecnych na oryginalnem widowisku, w którym, prócz najlepszych śpiewaków z całej Francji, ze znanym tenorzystą, p. Duc, na czele, brało udział 200 chórzystów i potrójna orkiestra, składająca się z 450 muzyków. Po odegraniu wstępu, Saint Saens, który sam tym numerem kierował, oddał batutę dyrektorską Gabrjelowi Fauré, jednemu z najzdolniejszych przedstawicieli młodej Francji muzycznej. Powodzenie olbrzymie. Dochód z przedstawienia wyniósł do 80.000 franków.

Przegląd krytyczny na nasze stosunki ekonomiczno — społeczne w Galicji, oraz, co zdziałał poseł Daszyński i co zdziała. — napisał — inż. Zygmunt Zieliński.

(Przemyśl — nakład autora).

Praca ta, obejmująca 423 str. zdaje się być wynikiem długoletniej obserwacji naszych stosunków. W wielu kierunkach jest także informacyjną. — Czytając nabiera się przekonania, że autor po za swoją fachową karjerą, czuje i myśli — jak obywatel kraju i wykazując wady społeczeństwa naszego podaje sposoby, jakby te wady usunąć, wykorzenić. Poruszanie zaś naraz tylu przedmiotów i ograniczenie ich w całość dowodzi, że autor skrzętnie robił notatki, informował się, czytał bardzo dużo i dopiero zrobiwszy to wszystko, przystąpił do uporządkowania dużego materjału, objaśniając niektóre szczegóły swymi poglądami.

Jest to praca poważna i warto się z nią zapoznać.

W lot.

= Dekoracja zewnętrzna i wewnętrzna nowego teatru we Lwowie.

Ponieważ nie jest zwyczajem pisać o rzeczy, a zwłaszcza o dziele architektonicznem, zanim takowe zostało ukończone i tem samem poddane krytycznemu zmysłowi ogółu i tych którzy w tej materji istotnej wagi wyrazić mogą zdanie — przeto zastrzegamy się, by to co tu poruszymy, nie uważano za niechętną, lub przedwczesną fachową krytykę w całem tego słowa znaczeniu. Czas na to będzie za rok, gdy wszystkie prace architektoniczne, artystyczne, rzeźbiarskie i malarskie zostaną ukończone i dzieło przedstawi się jednolicie, niby wyraz najlepszych chęci — świadectwo zdolności naszych sił krajowych.

To co dziś w większej części odsłoniły na zewnątrz opadające rusztowania i co widzieliśmy na przechadzce wewnątrz gmachu, dzięki uprzejmości jednego z pracujących przy budowie inżynierów, oraz tego wyczerpujących objaśnień — wyrobić musi w każdym z góry nieuprzedzonym już teraz zdanie, że mamy przed sobą dzieło głęboko obmyślane, a zarazem nietylko piękne, ale wprost wspaniałe.

Śmiałość rzutów architektonicznych, pamięć o najdrobniejszych szczegółach, dotyczących bezpieczeństwa i wygody publiczności, jak szerokie miejsca wyjścia i korytarzy, obiegających cały gmach, obszerne szatnie itp. — tym to najważniejszym warunkom praktycznym (wyjąwszy akustyki, którą przewidzieć niepodobna) dziś już w zupełności odpowiedziano — dzięki żelaznej konstrukcji i dobrze odważonym proporcjom pojedyńczych części gmachu, utrzymanych w pięknych linjach i w jedną harmonijną, a wspaniałą zlewających się całość.

Prace na scenie mniej zaawansowane i trudniejszy do nich przystęp, przeto nie wiele na razie da się o nich powiedzieć. Tyle o samym gmachu i jego konstrukcji; mniej jednak zadawalniającą jest część upiększająca — dekoracyjna. Cały fronton z figuracjami, to stare znajome, a raczej z tej samej rodziny, co inne figury na budynkach innych miast. Poczciwe, zawsze banalnie piękne, nigdy nie starzejące się niewiasty, rodzina bogiń, z których jedna ma za obowiązek możliwie bezmyślnie i banalnie przedstawić naukę, druga zaś muzykę — wskazuje na to lira, czy coś podobnego. W konchach na frontonie mają być umieszczone nie wykonane jeszcze dwie damy podobne tymże, przedstawiające dramat i komedję. Na wylotach u szczytu również alegorje, a na tympanonie już umieszczono alegoryczno-klasyczny fryz — słowem alegorja od początku do końca. Artystów, którym podano temat i skromną sumę, jaką preliminowano na sprawę sztuki, z tego tytułu winić nie podobna. Kosztorys, podany temat i nie tęgi materjał, w którym prace wykonane być miały, krępował fantazję i twórczość nie pozwalając stworzyć to, co nie jeden niezawodnie zamyślał. Nie miano widocznie na myśli pomieszczenia dzieł sztuki, jako takich, ale figurki ot takie sobie dekoracyjne, nie wiele mówiące i nie wiele również szkodzące i cel ten oczywiście najzupełniej osiągnięto. Po za tem, w ornamentacji również żadnego motywu swojskiego, ani przynajmniej niezużytego już do znudzenia, oryginalnego. Jak zwykle mieszane style, ustawicznie powtarzające się motywa festonów, kartuszy, lir, muszli, balustrad, masek i obalisków. Z tego wszystkiego wynika, że gmach artystycznie nie wskazuje bynajmniej teatru i sztuki narodowej, ale jest to typowy u nas kosmopolityzm. Zdaje się jednak, że teatr narodowy winien i w zewnętrznej szacie odpowiadać tytułowi. Ponieważ może czas jeszcze, choć w części złemu zaradzić, zwracamy uwagę kołom, od których to zależy i którzy w tej sprawie wyrokują, by zechcieli o tem pomyśleć. Równocześnie zaznaczamy, że kwestja poruszona przez nas jest życzeniem słusznem i zupełnie uzasadnionem szerszego koła miłośników sztuki i znających się na rzeczy. Byłyby zatem jeszcze cztery wolne miejsca, które zapełnić wypada posągami ludzi zasłużonych w literaturze i około rozwoju teatru, a mianowicie w dwóch nyżach na frontonie, gdzie stanąć mają podobno wazy z pseudomajoliki. Poza tem, może by się jeszcze znalazło miejsce na pomieszczenie znakomitych naszych autorów i artystów. Wypadałoby wybrać z grona najbardziej zasłużonych. Oto Kamiński, Bogusławski Wojciech, Fredro, Korzeniowski i inni. Artystów zaś w najświetniejszych ich kreacjach np. Królikowski (Wojewoda w »Mazepie«), Rychter Józef (Jowialski), Aszpergerowa (Matka w »Balladynie«), Modrzejewska (Lilla Veneda), dalej Smochowski, Panczykowski, Żółkowski i wielu innych. Z grona takiego da się coś wybrać, a jakie by to dało piękne i artystyczne rzeczy. Już widzę uradowane twarze rzeźbiarzy, na myśl takich robót, zamiast nudnych lalek klasycznych w rurkowanych togach i tunikach. Byłoby to piękne, pożyteczne, a rzetelnie patrjotyczne takie ocalenie zasłużonych przed niechybną śmiercią zapomnienia w sercach i umysłach — rodzaj skamieniałej pamięci i oddania czci należnej na właściwem miejscu. Oby głos ten nie był głosem wołającego na puszczy, choć będziemy wołać *asque ad finem.* Pomogą nam i ci, co sztukę i literaturę polską kochają.

= Bicykle.

Za granicą bicykle nie stanowią już sportu, uprawianego z próżniactwa. Stały się obecnie jednym ze środków, którymi posługuje się przemysł i handel. Bardzo mało widać sportowców, natomiast jadą panny z magazynów modnych z lekkiemi pudełkami, jadą agenci handlowi, posłańcy, inkasenci, przekupnie z lżejszym towarem itp. W święta tylko i w niedziele ukazuje się sport. Ale i ci ludzie pracują przez cały tydzień do umęczenia — więc też umieją bawić się ochoczo. U nas inaczej — ale przecież może będzie jeszcze... inaczej...

= Huczek nie potrzebny.

Z pewnych stron uderzono na alarm, że znanemu rzeźbiarzowi, p. Harasimowiczowi, oddano roboty rzeźbiarskie w nowo budującym się teatrze lwowskim bez konkursu. Na pozór wygląda to niby niesprawiedliwie, a w rzeczywistości tak nie jest. Po śmierci ś. p. Marconiego, tylko jeden p. Harasimowicz z tutejszych rzeźbiarzy mógł stanąć do konkursu, bo chociaż prowadzi pracownię p. Markowski, ale artysta ten zajmuje się wyłącznie nadgrobkami i o takie roboty się nie stara, a dlaczego, to już jego rzecz. Gdyby więc ogłoszono konkurs, posypałyby się oferty cudzoziemskich rzeźbiarzy i zachodziłoby niebezpieczeństwo oddania robót rzeźkiarskich dla polskiego teatru w obce ręce. Dobrze się więc stało, że konkurs pominięto i oddano roboty p. Harasimowiczowi, który złożył już dowody rzetelnego uzdolnienia, pracy, sumienności i znajomości rzeczy.

= Miejskie Biuro pracy.

W tym czasie Rada miejska otworzyła Biuro pracy we Lwowie. Jak ono jest na czasie, najlepszy dowód, że, nietylko jest natłok żądających pracy, ale dużo się zgłasza tych, co ją ofiarować mogą. Odwiedzanie Biura przez jednych i drugich, jest tak silne, a przytem, tyle się wywiązuje interesów, że obecny personal urzędniczy, jeśli sprawy mają iść prawidłowym torem, powinien być powiększony. Odzwyczajmy się już raz robienia na połowę! Można to wybaczyć jednostce, gdy się musi oglądać na wydatki — ale nigdy instytucji, która może rozporządzać odpowiednimi środkami tak, aby było dobrze i w niczem nie kulało. Szanowny Magistrat niech pomyśli, aby... wszystkie nogi były i nie kulało...

= Ś. p. Włodzimierz hr. Dzieduszycki.

Zmarł w 75 roku życia jeden z najzasłużeńszych Polsce ludzi: Włodzimierz Dzieduszycki. Tytuły i godności, któremi obłożyli zmarłego w nekrologach dziennikarskich, mogą być zamknięte w szkatułkę i przechowane w rodzinie na pamiątkę. Przy pewnych życiowych przywilejach, każdy je może posiąść, choć nie każdy zasługuje i nie każdy chce — ale ta, bezwarunkowa miłość dla kraju rodzinnego, która zniewalała, aby być pożytecznym polskiej wiedzy, polskiej nauce, polskiej sztuce i polskiemu przemysłowi — zapisze imię ś. p. Włodzimierza Dzieduszyckiego złotemi zgłoskami w rzędzie dobrze zasłużonych synów polskiego narodu. Z urodzenia i fortuny magnat, — mógł służyć za wzrór oszczędności z jednej strony, a z drugiej, świecił przykładem ofiarności, rozumu i zacnej wyrozumiałości wśród tych kół, które się mają za coś lepszego, choć w złem często pogrążeni... Tam, gdzie właśnie, powinno być inaczej — da się czuć brak założyciela Muzeum przyrodniczego we Lwowie, inicjatora i hojnego, a zamiłowanego nakładcy tylu przedsięwzięć pracujących na pożytek, chwałę i chlubę polskiego społeczeństwa. Zabraknie Włodzimierza Dzieduszyckiego wśród nas, ale imię i czyny jego pozostaną na wieki z tą czcią, jaką go otaczać będzie cały naród polski.

Przegląd polityczny.

Jak twierdza, która chce kapitulować, ale ma kilku pyszałków niechcących narazić własnej piersi, lecz wysełających ku obronie szeregowców — tak i niemieckie stronnictwa opozycyjne, a raczej ich hetmani, zachowują się w obec zapowiedzianej konferencji ugodowej, czyli językowej w Wiedniu. Jeśli atoli konferencja ma być owem *vademecum*, które doprowadzi do pojednania — to powinno było poprzedzić jej odbycie, ogłoszenie programu. Tymczasem, słyszy się tylko ze stron obu *non possumus*. Gdzie ja nie chcę i drugi nie chce ugody, to po co słuchać motywów, aż nazbyt dobrze znanych. Sprawa języków jest ową przeszkodą, o którą gruchocą się najżywotniejsze interesa narodów w konstytucyjnej Austrji. Szowiniści niemieccy Austrji chcą gwałtem sławy prusaków i sławy Katkowów. Co to bowiem znaczy język państwowy? Państwo, jako państwo nie mówi żadnym językiem, ale mówią *narody*. Wolnomyślny ustrój nie narzuca różnoplemiennym i różnojęzycznym narodom swego upodobanego, lub uprzywilejowanego języka. Przykładem wolna Szwajcarja. Tylko ustroje absolutne i despotyczne, gdzie panuje potęga *ciemnoty* narzucają język zdobywczego narodu, uciemiężonym narodom. — A niechaj nikt nie mówi o Prusach, bo to państwo, które do dziś ma tylko *oktrojowaną* przez despotę konstytucję.

Jesteśmy więc pewni, że byle szczepy słowiańskie wytrwały, jak przystało zahartowanym w niedoli szermierzom — to legnie przed nimi pyszałków Troja, zrekrutowanych ze spekulantów politycznych. — Przybywa sprzymierzeniec potężny, mianowicie cały stan przemysłowy w całej Austrji, który się ocknął i woła, jak ongi Cicero: „Długoż jeszcze mamy być wyzyskiwani dla próżności spekulantów i karjerowiczów?"

Od tych reprezentantów hakatyzmu austrjackiego, rzućmy okiem na hakatyzm skierowany wyłącznie przeciw plemieniu lechickiemu. Słychać o nowych wysileniach pruskiej przewrotności. To znaczy, iż duch polski niespożyty. To znaczy także, że niemoc czepia się przemocy fizycznej. Prusacy, bowiem, i dekadenci ducha niemieckiego tracą miliony, by zatruć *nas*: *Polskę* a trują się sami niepowodzeniem. Biada zwyciężonym! wołali ongi barbarzyńcy i chełpliwi cywilizatorowie, Z czasem zawołają zwycięzcy w duchu: biada znikczemniałym! którzy uwierzyli tylko w pięść swoją.

Najbliższy nas Wschód żyje w paroksyzmie, którym zaraził się od wieków od władców azjatyckich. Paroksyzm taki przebywa Serbja. Kilka półurzędowych organów państw europejskich ostrzega, ażeby w Belgradzie z powodu eks-króla Milana, nie dopuścił się młody król i rząd, morderstwa jurydycznego.

We Francji odkryto spisek rojalistyczny i przysposabiany zamach na republikę. Są rozliczne rodzaje sprzysiężeń. Dopóki będą na świecie narody uciemiężane, będą zawsze i spiski. Ale sprzysiężenie rojalistyczne we Francji tem się tłomaczyć nie może. Ma tedy Francja świeżą sensację, wylazłszy ledwo z afery dreyfusowskiej.

W Belgji zaszło przeobrażenie w jednym odłamie stronnictwa liberalnego. Jeden z przywódców, Lorand, zdradził sztandar wolnomyślny i przeszedł w usługi konserwatystów.

John Bull-Anglja, groził i grozi Transwaalowi, ale zdaje się, iż się na pogróżkach skończy. Dzienniki, bowiem, inspirowane przez rząd angielski, poruszają już wielce łagodne struny — to znaczy, iż lew brytański nie wielką ma ochotą drapać, lubo groźnie najeżył grzywę.

Ciekawe, pożyteczne i praktyczne wiadomości.

Stuletni jubilejusz metra. W czerwcu minęło sto lat od chwili wprowadzenia przyjętej dziś na całym świecie miary: metra i kilogramu. Duia 22 czerwca 1799 r. komisja złożona z 26 uczonych francuzów, ukończyła w Paryżu dwuletnią swą pracę nad obmyśleniem nowego systemu miary powierzchni i wagi. A praca to byla niełatwa. Trzeba było dokonywać kilkakrotnie, jak najdokładniejszych pomiarów pojedynczych części południka ziemskiego, którego 40 milionową część postanowiono przyjąć za jednostkę. Jednostka ta, to właśnie metr, który stał się podstawą nowego systemu, noszącego nazwę metrycznego. System ten od roku 1800 obowiązywać zaczął urzędownie we Francji.

Nowy system oddać mógł handlowi międzynarodowemu olbrzymie przysługi, ujednostajniał bowiem wszystkie miary, jakich każde państwo miało poddostatkiem. Dość powiedzieć, że w państwie niemieckiem, każde nawet najmniejsze państewko miało miar tych po kilka, a nawet kilkanaście. U nas w Polsce, było ich również bardzo wiele, niektóre z nich przechowały się po dziś dzień. Już w węwnętrznych stosunkach handlowych, sprawiała taka rozmaitość miar i wag wielkie trudności, a cóż dopiero w handlu międzynarodowym.

Mimo tych jawnych korzyści, państwa ociągały się z wprowadzeniem systemu metrycznego, a to głównie z powodu zbyt wielkich kosztów, jakie to za sobą pociągnąć musiało. I tak: po Francji pierwsza przyjęła system metryczny Belgja (około r. 1815), następnie Holandja (1820), Grecja (1836), Sardynja (1845), rzeczpospolita Chilijska (1848), Hiszpanja i Włochy (1849, z wyjątkiem państwa Kościelnego, które go przyjęło dopiero w r. 1861), Szwecja (1850), Danja (1852), Szwajcarja (1855), rzeczpospolite Ekwador i Meksyk (1860,) reszta państwa południowej Ameryki (1862) z wyjątkiem Brazylji, która uskutecznia to dopiero w r. 1875, Rumunja i Portugalja (1884), Anglja (1885), Niemcy i Austrja (1868). W Rosji wprowadzenie systemu metrycznego jest już zasadniczo postanowione, a urzeczywistnienie tego projektu jest kwestją niedalekiej przyszłości.

Tak więc sprawdziły się słowa Johna Quincy Adamsa, prezydenta Stanów Zjednoczonych, który jeszcze w r. 1828 pisał, że metr podbije świat cały i stanie się jedyną jednostką miar i wag od równika do biegunów.

Rok 1900 nie będzie rokiem przystępnym, chociaż jest podzielny przez 4, ponieważ papież Grzegorz XIII rozporządził bullą z dnia 24 lutego 1582 r., żeby co 400 lat wypadły 3 lata, któreby miały być przestępnemi wedle ogólnej reguły i to lata, niedające się podzielić przez 400 bez ułamka. Rok ma bowiem 365 dni, 5 godzin 48 minut i 46 sekund (a nie całe 6 godzin); gdy pomożymy 5 godzin 48 min. 46 sekun. przez 4, wypadną tylko 23 godziny 15 min. 4 sek., a nie 24 godziny, dlatego w 400 latach byłoby 74 godziny 53 min i 20 sekund za wiele, czyli 3 dni 2 godziny 53 minuty 20 sek. Rok 1600 był więc rokiem przestępnym, ale nie rok 1700 i 1800 i dopiero znowu rok 2000 będzie rokiem przestępnym.

Przeciw gwałtownemu krwawieniu z nosa, zaleca dr. Hutchinson nogi i ręce zanurzyć w wodę tak gorącą, jak tylko można wytrzymać. Następuje przez to pewien rodzaj odwodzenia krwi. Dr. H. osiągnął tym środkiem zadziwiające skutki, w przypadkach nawet najuporczywszych.

Czy stara mąka może być zdrowiu szkodliwą? W mące starej, lub dłużej przechowanej spostrzegli badacze najpierw tylko ślady, później jednak znaczne ilosci alkaloidów (tj. ciał organicznych, z których dużo znajduje się w roślinach, a które odznaczają się często bardzo szkodliwymi skutkami) Wróble karmione taką starą mąką, zarobioną z wodą przestały żyć w ciągu kilku godzin. Wskazaną jest zatem rzeczą, starej mąki nie używać w celach odżywiania.

Przeciw owadom nocnym. Najlepszy środek na perzaki, karaluchy, i t. p. nagotować boraksu zmieszać z mąką na połowę i wieczorem rozsypać na kuchni, lub pokątach, gdzie mają siedzibę.

Środek przeciw zwarzaniu się mleka. Zwarzeniu się mleka można zapobiedz dodaniem płynu, przygotowanego następującym sposobem: rozpuścić 30 gram. bas. wegl. sody (kuric w aptece) w szklance wody, i przechowywać płyn ten w hermetycznie zamkniętej butelce. Płyn ów wraca nawet zwarzonemu mleku pierwotny stan jego. Jeżeli się mleko zwarza podczas gotowania, zagotować razem i przemieszać potem. Wszelkie grupki rozpuszczają się i znikają. Potem tworzy się kożuch i mleko „idzle do góry", jak zwykle. W mieście, latem mianowicie, jest płyn taki koniecznie potrzebnym.

Wszelkie płyny można bez lodu ochłodzić w następujący prosty sposób: Flaszkę z płynem owija się w kawał płótna, które się umaczało w zimnej wodzie, a potem dobrze wyżęło, poczem wstawia się flaszkę w jakiebądź naczynie, napełnione do połowy zimną wodą. To wszystko stawia się w okno, a otworzywszy drzwi pokojowe wystawia się butelkę na wpływ przewiewu. Parowanie wilgotnego płótna sprawia znaczne oziębienie, które się udziela zawartości w flaszce.

Odpowiedzi Redakcji i Administracji.

Aniołek z różkami. Jak na początek „różki" nie złe — ale nie do druku.

W. w Krakowie. Już mamy,

X. Y. Z. Artykuł wydrukujemy.

Cym. w Kałuszu. Wysłaliśmy.

Lorka. Wierszyki nie złe — zużytkujemy.

Aktor bez stanowiska. Nie wdajemy się w te sprawy.

Pan Faust we Lwowie. Prosimy o prozę.

G—g. Dobrze

L. K. w San-Francisco. Prosimy o bliższy adres.

Pan A. K. Wolski w Brazylji. Prosimy o te tłomaczenia z portugalskiego, o których Pan pisze — ale prosimy wybierać rzeczy, o ile możności jaśniejsze i bardziej interesujące polską publiczność.

W. D. w Paryżu. Znajdzie pan na Quaid'Orleans.

Pan Daniel Śliwicki w Paryżu. Żądane numera dla Biblioteki polskiej w Paryżu wysłaliśmy.

Nadesłane.

Mówią, że wszelki początek jest trudny — zapewne, że to prawda, ale gdy ten początek jest uczciwy, pracowity, to go się zmoże i potem dobrze już idzie. Dowodem: kawiarnia p. **Franciszka Sauera** znajdująca się w **Krakowie, przy rogu ulicy Szczepańskiej i Sławkowskiej, na pierwszem piętrze** (gdzie apteka F. Gralewskiego). P. Sauer na każdym kroku stwierdza maksymę, że kto chce, ten może, ale trzeba chęć podeprzeć usilną pracą, a wtedy owoce muszą być dobre. Kawiarnia p. Sauera w Krakowie, posiada lokal jasny i wolny od dymu. Czytelnia dla pań osobna, w stylu rococo, oraz dla panów, zaopatrzona w pisma i tygodniki illustrowane, krajowe i zagraniczne, gry towarzyskie i trzy bilardy najnowszej konstrukcji. Wszelkie napoje, jak kawa, herbata, wina, koniaki, likiery, doskonałe, usługa wzorowa, pod zarządem samego właściciela. Uczciwość i rzetelność w handlu, są najlepszą reklamą dla każdego kupca. P. Sauer, znany szerszej publiczności w Krakowie, nie potrzebuje się reklamować, a jako człowiek zacny, uczynny i znający się doskonale na swoim fachu, posiada uznanie i prawdziwy szacunek.

[7408-3-2].

Zwraca się uwagę na ogłoszenie **p. Leona Heszelesa, we Lwowie**, którego skład fortepjanów i pianin wyrobił sobie wśród szerokiej publiczności rzetelne uznanie. Fortepjany i pianina, pochodzące ze składu p. Heszelesa, uznane są przez specjalistów za najlepsze instrumenta, tak pod względem techniki najnowszej, jak i zalet muzyczno-instrumentalnych. Wielki swój magazyn, p. Heszeles od 1. października przenosi do własnego domu na ulicę Sykstuską 11. (pod Szopenem). [10-2-1.]

Baczność!!!

Była brzydka, jako noc,
Miała piegów wielką moc,
Niktby temu niedał wiarę,
Usta blade, zęby szare!
Poszła z tem do Traunfellnera,
Wyszła z tamtąd, jak Wenera.
Płeć bielutka, gdyby śnieg,
Z twarzy zniknął każdy pieg.
Ząbki cudnie wybielały,
Usta barwę róż przybrały,
W latach nawet odmłodniała.
Przed miesiącem męża miała,
Lecz to nie są żadne cuda,
Kto chce próby, niech się uda

do

nowo otwartej DROGUERJI
we Lwowie Rynek l. 10.
Szczęsnego Traunfellnera
Magistra farmacji. (7460-2-2)

Jedyna sposobność!

Do czego? i dla kogo?!

1) **Dla wszystkich** sposobność do nabycia **po zniżonych cenach** przedmiotów niżej oznaczonych*)

2) **Dla przedsiębiorców**, dla **kupców i przemysłowców**, dla **adwokatów i lekarzy**, oraz dla **zarządów dóbr**, prowadzących **przemysł rolniczy** — jedyna sposobność do tego, aby *podać bezpłatnie swój adres do publicznej wiadomości*, przez zamieszczenie go z wszelką dokładnością w **Księdze adresowej i Przewodniku po Galicji**

Wydatek wynosi tylko **2 centy**, na kartę korespondencyjną, na której należy napisać co następuje:

Do Redakcji „Dźwigni“
we Lwowie

Upraszam nadesłać mi **bezpłatny** Nr. **„Dźwigni“** zawierający prospekt **„Księgi adresowej chrześcijańskiego przemysłu, handlu, zarządów dóbr, wraz z przewodnikiem po Galicji**, abym mógł — gdy mi się spodoba, prenumerować Dźwignię za 50 centów do końca roku 1899i—celem **bezpłatnego** umieszczena **mego adresu**, w wydawanej przez Dźwignię „Księdze adresowej“ i „Przewodniku po Galicji“. [11-1-1]

Kto taką kartę korespondencyjną napisze, otrzyma odwrotną pocztą bezpłatny Nr. »Dźwigni« wraz z prospektem »Księgi« i »Przewodnika«

***) Po zniżonych cenach** są do nabycia w Redakcji »Dźwigni« następujące książki: 1) Wyprawa do krajów nieznanych na Marsie (Senzacyjna po wieść) — 2) Promienie Röntgena (sławne odkrycie ciemnych promieni)—3) Nowa ustawa przemysłowa. — 4) Pięć zeszytów »Słowianina« — 5) Utopiści (komedja dla teatrów amatorskich).

Wystarcza adres:
Redakcja „Dźwigni“
we Lwowie.

JAN LERSKI

krawiec męski
poleca P. T. Publiczności swój

Skład i Pracownię szat męskich

we Lwowie, [3-1-1]
plac **BERNARDYNSKI 3.**

Dla zaspokojenia najwybredniejszych wymagań P. T. Publiczności, wprowadziliśmy od 1 lipca, jako nową markę, najprzedniejsze

Piwo eksportowe,

wyrabiane z najszlachetniejszych gatunków słodu i chmielu, które śmiało może konkurować z najlepszemi piwami obcemi.

Butelki pół litrowe piwa eksportowego po 12 ct. zamawiać można u naszego zastępcy p. S. Wiesera ul. Sykstuska Nr. 14, telefon Nr. 149. [7455-12-3]

Lwowskie Towarzystwo akcyjne browarów.

Leon Heszeles

we Lwowie.

Skład i wypożyczalnia fortepianów i pianin, tak nowych, jakoteż i przegranych.

Najtańsze ceny. Spłata może być na raty.

Skład z ulicy Trzeciego Maja 2. z dniem 1. października, znajduje się we własnym domu: ulica Sykstuska 11 (Pod Szopenem).

[9-13-1]

3% Losy austryackiego Zakładu kredytowego ziemskiego
sześć (6) ciągnień rocznie
główna wygrana:
50.000 złr. a. w.
4% Losy węgier. Banku hipot.
trzy (3) ciągnienia rocznie
główna wygrana:
50.000 złr. a. w.

jakoteż wszelkie losy Czerwonego Krzyża i serbskie 10 frankowe sprzedaje najtaniej

Sokal i Lilien

dom bankowy
i kantor wymiany.

Zlecenia z prowincji wykonujemy bezwłocznie nie doliczając prowizji azna żądanie zaliczkę. 7227-st.)

C. k. uprz. galicyjski akcyjny

BANK HIPOTECZNY,

Oddział depozytowy

przyjmuje wkładki i wypłaca zaliczki na rachunek bieżący, przyjmuje do przechowania papiery wartościowe i udziela na takowe zaliczki.

Nadto zaprowadzono na wzór instytucyj zagranicznych, tak zwane

DEPOZYTY SCHOWKOWE (Safe Deposits).

Za opłatą 25 do 35 zł. w. a. rocznie, depozytarjusz otrzymuje w stalowej kasie pancernej schowek do wyłącznego użytku i pod własnym kluczem, gdzie *bezpiecznie a dyskretnie* przechowywać może swoje mienie, lub ważne dokumenty. [7197-st.-10].

W tym kierunku poczynił Bank hipoteczny jak najdalej idące zarządzenia.

Przepisy, odnoszące się do tego rodzaju depozytów, otrzymać można bezpłatnie w oddziale depozytowym.

Za Komitet redakcyjny i wydawniczy: Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **M. Dzikowski-Chamski.** Z drukarni W. A. Szyjkowskiego.